

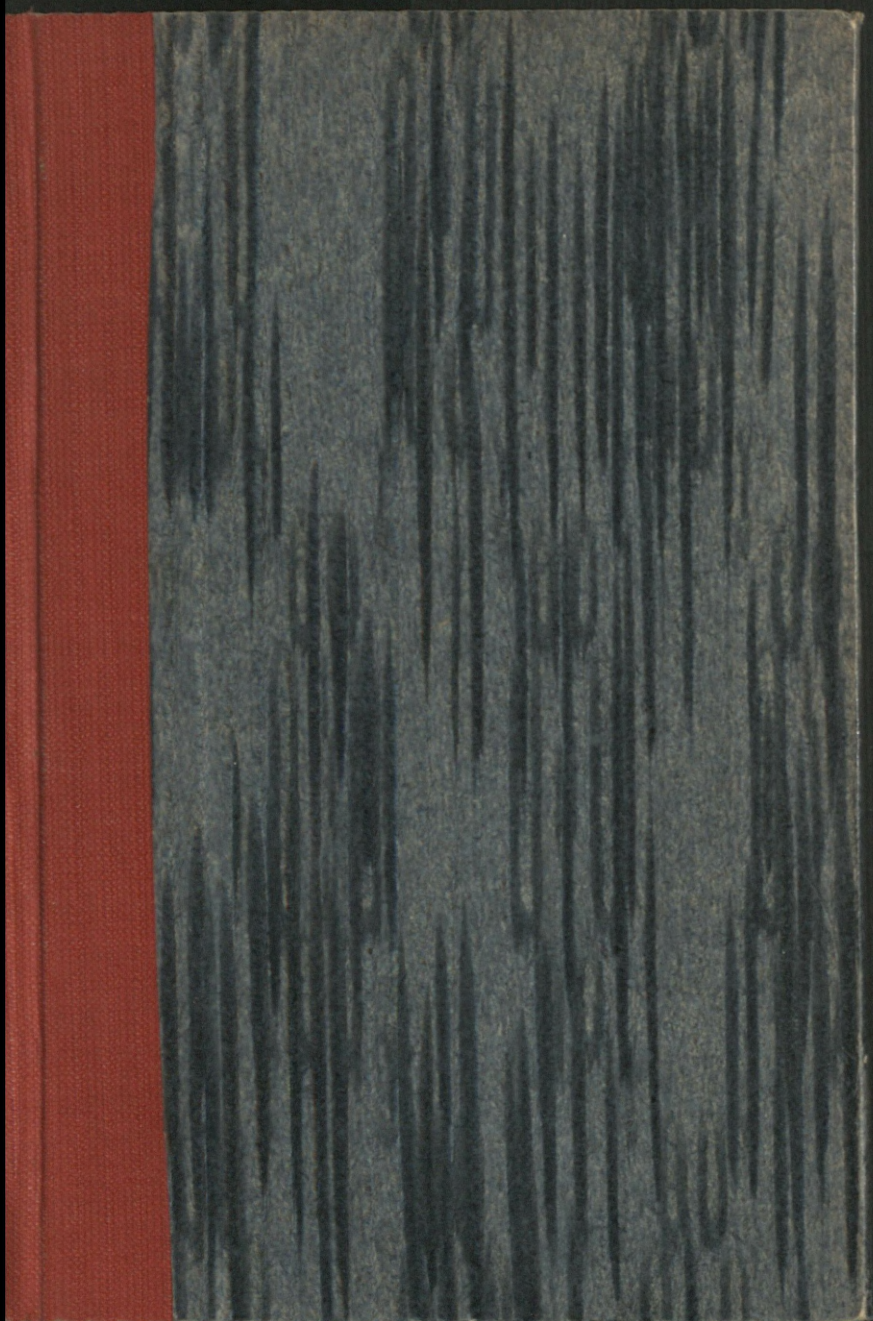


Grey Scale #13



DANES-PICTA .COM

A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



Inches 1 2 3 4 5 6 7 8  
Centimetres 1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13 14 15 16 17 18 19

Colour Chart #13

Blue Cyan Green Yellow Red Magenta White 3/Color Black

DANES-PICTA .COM



Wydawnictwo imienia Stanisława Staszica.

Do Towarzystwa imienia »Staszica« na ręce pana  
Szczešana Wicherka we Lwowie.

L. 11768.

W imieniu Jego Cesarskiej Mości!

C. k. Sąd krajowy dla spraw karnych we Lwowie  
orzekł dnia 17 Czerwca 1889 l. 10272 na mocy §§ 489  
i 493 sp. k. i § 36 u. pr. że treść wierszu pod tytułem  
»Cierpiącym a niezwyczężonym braciom unitom w pókłón.  
Głós unity« umieszczónego w broszurze Towarzystwa im.  
Staszica z maja 1889 zawiera znamiona zbrodni z § 66  
ust. 2, zatem usprawiedliwioną jest zarządżona przez c. k.  
Prokuratora rządowego konfiskata tego wierszu.

W skutek tej uchwały wzbronione jest dalsze rozpo-  
wszęchnienie tego wierszu a zabrany nakład ma być zni-  
szczony. — Wnioskowi zaś Prokuratora państwa o zatwier-  
dzenie rzeczónej konfiskaty także z powodów zachodzących  
znamion z § 491 493 i 494 uk. odmawia się.

P o w o d y.

Wiersz ten wzywa do powstania przeciw państwu ro-  
syjskiemu, zawiera przeto znamiona wyżóznaczonej zbrodni.

Lwów dnia 12 lipca 1889.

*Füger w. r.*

Towarzystwo imienia Stanisława Staszica we Lwowie.

---

»Upaść może i naród wielki,  
zniszczyć tylko nikczemny«.

Rok I.

Tomik V.

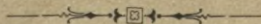
Lipiec 1889.

# JÓZEF PUŁASKI

STAROSTA WARECKI

Twórca konfederacji barskiej.

*Step. 17*



**Dr. Wiktor Hahn**

**L w ó w.**

Nakładem Towarzystwa im. Stanisława Staszica.

Z drukarni W. A. Szyrkowskiego ul. Kopernika l. 5.

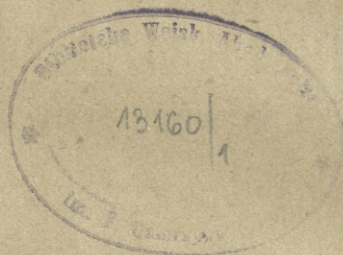
1 8 8 9.

---

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: **Szczepan Wicherek.**

*Revised edition*  
Westing. H. J. Badenthorica (Suffragan Priest)  
Baltimore, Md.

of. Prayst. Lot. Lang. Ind. Org. p.



Kto zamięłowany w przeszłości, komu w pamięci snują się owe energiczne postacie Ojców i Dziadów naszych, kto w myśli rozmawia z nimi, żyje ich życiem, wywołuje z upodobaniem ich cienie: ten spojrzawszy na świat dzisiejszy, z politowaniem widzi, o ile pod względem fizycznym maleje i słabnie ród ludzki.

Kroniki nasze wspominają o niezmiernej sile ójców naszych, o owym naprzykład, Radziwińskim, co najtęższym chłopem rzucał jak piłką, co uzbrojony na koniu wjeżdżał w bramę, chwycił się jej rękoma i podnosił do góry i siebie i konia. Przed laty jeszcze kilkudziesięciu nie było u nas ludzi co podkowy łamali, co wstrzymywali powóz czterokonny, co pili garncami, jedli za dzisiejszych kilku ludzi, i dlatego później dożywali starości? Jeszcze w dzieciństwie mojem znałem takich ludzi!... Jeszcze mam w pamięci owych kresowatych Barszczan, starych latami, ale młodych umysłem i energią; owych dawnych palestrantów wymownych, z których każdy w potrzebie kładł pióro, a chętnie chwycił za karabelę; owych poważnych urzędników, obywateli i żołnierzy razem, z których każdy dziwną fantazją i oryginalnością odznaczał się. O! napatrzyłem się na te obrazowe postacie w domu dziada mojego. To się

nie jednemu z rówieśników moich przytrafić mogło; nie każdy jednak jak ja znalazł się w bliskich stosunkach z człowiekiem, co świątły, z wyobraźnią poety, z talentem prawdziwie artystycznym, umiał każdą taką postać poznać w rozmowie, a potem dziwnie trafnie przenieść ją na papier. Tym człowiekiem był Jakób Sokołowski.

Miły to był człowiek ten pan Jakób. W młodości staranne odebrał wychowanie, a potem własna praca i stosunki z ludźmi światowymi i najlepszego towarzystwa, dopełniły reszty. Do tego dobry, pobłażliwy; na wesołej jego twarzy uśmiech zawsze igrał, a na dowcip jego nikt się użalać nie mógł. Z dziwnym talentem trafiał on podobieństwa i umiał schwycić typ właściwy każdemu. Wiedzieli o tem wszyscy znajomi jego; to też na kim długo spoczęło wesołe oko pana Jakóba, komu się przypatrywał uśmiechając się i garnąc włosy na łysinę, ten już mógł być pewny, że wkrótce figurować będzie w zabawnej jakiejś scenie, ołówkiem lub kredą oddanej.

Szczególnie lubił on rysować zamaszyste postacie szlachty, i tych najwięcej po nim pozostało. Miłował bardzo przeszłość naszą, mnóstwo dyktyryjek z dawnych czasów opowiadał, a każdą tak dowcipnie, że słuchacze nie wiedzieli nieraz, czy śmiać się, czy płakać mają, tak nimi o władnęły te dwa sprzeczne uczucia.

Z takimi przymiotami nie dziw, że pan Jakób był wszędzie pożądanym gościem. Długo też przebywał po różnych, znakomitych domach, potem za granicą, a kiedy osiadł na własnym kawałku ziemi, szczególnie polubił

mnie, młodzika wtenczas, i często dnie i tygodnie spędzaliśmy razem.

Raz pamiętam, letnią porą wracaliśmy w nocy z imienin w sąsiedztwie i rozmawiali o sutem i gościnnem przyjęciu gospodarza. Pan Jakób przypominał, jak pan Choraży po kilku kielichach wniósł toast „*kochajmy się!*“ i zwyczajem swoim wylał na stół i wychylił do dna. Każdy z nas za przykładem Chorażego na stole spełniał to zdrowie, aż przyszła kolej na reformata, który imieniem konwentu przyjechał winszować solenizantce. Nie był on z tych księży, co wzbudzają poszanowanie: niski, pękaty, oczy ospałe, czerwone policzki; ochryłym głosem wykrzyknął:

— *Vivat!* kochajmy się! I przytykał kielich do ust.

— Na stół księżo! na stół! wołali wszyscy, nie przyjmujemy inaczej tego zdrowia.

Ksiądz się wzdryga, nalegają biesiadnicy. Nareszcie kilku porywa księdza na ręce; broni się mnich jak może, nic nie pomaga, dźwigają go; ale kiedy wzniesli do góry, reformat wysunął im się z habitu jak węgorz z swej skóry, a jak stanął na ziemi, śmiech ogólny rozległ się po sali, bo wtenczas dopiero poznali prawdziwą przyczynę oporu mnicha. Przypomnienie tej komicznej sceny wprowadziło w dobry humor pana Jakóba, często zdejmował skórzany kaszkiecik i garnął włosy na łysinę, co było oznaką zadowolenia. Układał, jak odrysuje tę scenę, jak ugrupuje wszystkich aktorów i już raz na tropie, opowiadał o różnych dowcipnisiach, których znał w dzieciństwie swoim, między innymi o onym biskupie Ołęckim, który miał pasyą wiersze pisać, a mając jakąś urazę do

pani kasztelanowej chełmskiej. napisał na nią satyrę i zakończył temi słowy:

Krucze pióro; praczki,  
 Dam ja niuch tabaczki  
 Zakręci w nosie,  
 Bo Uher w kłosie.

*Post scriptum.* Karafina z octem.

Miało to znaczyć, że ją tak czarno opisze, że żadna praczka tego nie wypierze; dalej że jej się da we znaki, bo dobra jego dziedziczne Uher, we wszystko obfitują, w końcu, że i karafinka octu nie wywabi jego pisma.

Tak tedy rozmawiając jechaliśmy lasem. Ciemno takie, że ledwie dyszłowe konie dojrzeć można było, nie nie przerywało ciszy letniej nocy, aż kiedy las przerzedzać się począł, parskanie licznych koni i brzęk pętów zwróciły naszą uwagę, a po chwili blask światła uderzył oczy nasze, bo na równince, na którąśmy wjechali, palił się suty ogień, koło niego siedzieli ludzie jacyś w baranich czapkach, obładowane wozy stały rzędem na uboczu, a siedzący przy ogniu spiewali dumkę jakąś. Kazałem stanąć.

— Co wy za jedni? spytałem.

— Ukraińcy, odrzekł jeden z siedzących przy ogniu.

— Gdzie wy jedziecie? pytałem znowu.

— Do Warszawy, z jagłami i słoniną.

— A macie wy konie na sprzedaż? pytał pan Jakób, który już myślał rysować jakiegoś długogrzywego stepowca i na nim dziarskiego kozaka.

— Jest, jest bat'ku, wołało kilku razem.

— No, kiedy tak, to pamiętajcie, jak przyjedziecie jutro do pierwszej wsi, co jest na gościńcu, dajcie znać do dworu, to może co kupię od was.

— A czyżże ten tabor; spytał skwapliwie pan Jakób.

— Baćka Dynowskoho, odrzekli chórem.

— Bądźcie zdrowi, czekamy od was wiadomości.

— Boh z wami, nie zabudem, nie zabudem, wołali Ukraińcy, a my ruszyli ku domowi.

Na drugi dzień rano siedzieliśmy w ganku przy śniadaniu, pan Jakób zabrał się do pracy i popijając kawę, rysował scenę wiwatów. Już na stole stał pan chorąży, mała figurka jego dziwnie trafiona była. Koło stołu kilku dźwiga opasłego mnicha; pan starosta, gospodarz domu, siedzi przy stole, ręce na brzuchu złożone, chustka rozpuszczona, śmieje się do rozpuku; dwóch starych sług starosty stoi koło szafy kredensowej, trzymają się za boki i jeden drugiemu palcem wskazuje mnicha. Co chwila, to nowa jakaś postać wyrasta, a ja zajęty całym tym obrazem, oka nie spuszczałem z papieru i niecierpliwie śledziłem każde poruszenie ołówka. Służący podał mi lulkę, odwróciłem się na chwilę, żeby ją zapalić, i zaraz oczy zwróciłem na papier. Spojrzę, aż tu ja podobniuteńki, cienki jak szparag całuję się z opasłym posłem Krasnostawskim, który mnie ciśnie do brzucha. Śmiech mnie pusty ogarnął, a pan Jakób gładząc czuprynę:

— A co Kajesiu, zawołał, i tyś tu, a czy nie podobny?

— Podobny, podobny! wołałem śmiejąc się; na brzuchu pana Krasnostawskiego wyglądam jak pręga na wilczatym koniu.

Ubawiła pana Jakóba moja uwaga; to też i on śmiał się przypatrując się rysunkowi, kiedy wołanie: »porom, porom!« zwróciło naszą uwagę. Spojrzeliśmy na rzekę; na brzegu stał kozak na ciemnoszpakowatym koniu, szerokie białe szarawary okrywały siodło i tybinki, prawą ręką wziął się pod boki i potrząsając głową, rozglądał się na wszystkie strony.

-- A cóż to za tęgi kozak, wołał pan Jakób, trzeba go odrysować.

I jak wyrzekł, tak się stało; bo nim pijany przewoźnik dobił do brzegu i powrócił z Ukraincem, już ten ostatni cały był na papierze.

— A skądto spytałem.

— Bat'ko Dynowski pozdrawiajet was, i czeka ot w tamtym seli; tu wskazał ręką za rzekę.

-- Jedźmy! jedźmy! wołał pan Jakób i zaraz kazałem zaprzęgać dla nas, a kozaka uczestowawszy, wyprawilem przodem, żeby oznajmił o naszym przybyciu.

Byliśmy na grobli, wiodącej do karczmy, gdzie nas czekał pan Dynowski i ujrzelśmy przed nią mnóstwo maży\*), rzędami poustawianych; na podsieniu stał ów kozak, co do nas przyjeżdżał; baranią czapkę trzymał w jednej ręce, drugą kręcił oseledce\*\*) i rozmawiał z kimsiś siedzącym na ławie. A kiedy bryczka nasza dojeżdżała, wstał ów siedzący, musnął wąż na obie strony, i zdejmując z głowy magierkę okrągłą, podał mi rękę gdym wysiadał, a potem kłaniając mi w kolana:

---

\*) Maża, wóz czumacki na Ukrainie.

\*\*) Kosmyk włosó v.

-- Bat'ku starosto, ja jestem Balcer Dynowski, szlachcic z Ukrainy, obowiązany sługą domu waszego.

Zdziwiło mnie to nie pomału, zkąd pan Dynowski mieni się sługą domu mego i dla czego tytułuje mnie starostą, kiedy nie tylko ja ale i ojciec mój nim nie był.

— Ha! w braku innego, tytuł dziadowski widno daje mi... pomyślałem i najgrzeczniej odpowiedziałem, że bardzo, bardzo mi miało zrobić z nim znajomość, i żeśmy przyszli obejrzyć konie jego, i kupić co jeżeli się da.

— Są konie Bat'ku starosto! mówił pan Dynowski; pokażę je, ale przed tem proszę na przekąskę; i ręką wskazał nam drogę

Weszliśmy do stancyi gościnnej. Na środku był stół, czerwoną makatą zasłany, na cynowych talerzykach półgęski i wędliny, z ogromnej drewnianej złoczonej misy dymił się bigos hultajski; na jednym rogu stołu było puzderko otwarte, z którego wyglądały flasze rżnięte, na drugim plaster miodu, prawdziwego lipca, na dużym półmisku.

— Czem bohat, tem i rad, mówił pan Dynowski, wskazując na stół, i zaraz zaczął wyjmować z puzderka najprzód flasze, potem nieduży kubek wyłacany, w końcu szklanki rogowe; a kiedy zajęty był tą robotą, my tymczasem z panem Jakóbem przypatrywali mu się ciekawie.

Nie dużego był wzrostu, silnej chociaż drobnej budowy ciała, twarz nie wielka, ogorzała, rysy nie duże, wąsy tylko niezmiernie długie, zupełnie szpakowate, równie jak włosy, które po szwedzku w tył zaczesane nosił. Miał on kozackie szarawary, w których z jednej

kieszeni wisiały jedwabne kutasy kapszuka, a z drugiej wyglądała rogowa pipka cybucha; kurtka z szarego nankinu była tak krótka, że ledwie biodra okrywała, które ścisnęły pas jedwabny, szafirowy, a za nim wtknięta nahajka, w srebro oprawna. Wyglądał na człowieka pięćdziesiątkilkoletniego; żywy, ruchliwy, nie w nim nie zdradzało podeszłego wieku.

Nalał w kubek wódki, pił do mnie, ja do pana Jakóba, i znowu napełnił go nasz gospodarz.

— No! Zawierucha, rzekł, wypij i ty zdrowie panów, i wyciągnął rękę z kubkiem.

A na to wezwanie odwróciliśmy się z panem Jakóbem, nie pomału zdziwieni, że jeszcze jeden gość, któregośmy nie widzieli, znajduje się w izbie. Jakoż w kątku na tapczanie siedział stary kozak, nadzwyczaj wydatnych rysów twarzy; na podgolonej głowie nie wiele było białych jak śnieg włosów, owisłe, białe wąsy okrywały mu wargi, a brwi gęste łączyły się z sobą. Strój na nim kozacki, poważniejszy nieco, jak zwykle to ubranie; bo zwierzchnia suknia, kapucyńskiego koloru, do kolan dochodziła; pod nią widno było granatowe szarawary; pas miał na sobie z palonej skóry, z dużą klamrą mosiężną, na której herb Ślepowron i cyfrę J. P. czarno szmelcowaną z daleka rozeznąć można było. Z lewej strony pasa odstawała pochewka, w nią zatknięty był kindżał, w heban i srebro oprawny, a co szczególnie zwróciło naszą uwagę, to przy koszuli szpinka szmaragdowa, pięknie oprawna.

Powstał on na wezwanie pana Dynowskiego, a nas nderzyła wysoka chociaż pochylona postać kozaka: a kiedy spojrział do koła, to wyraz oczu jego był

takiej powagi, że nam się zdało widzieć owego proroka z porohów Dnieprowych, którego przepowiednie w każdym prawie szlacheckim domu były.

Pan Jakób wzrok wlepiwszy w kozaka, z nogi na nogę przestępował i gładził łysinę, a starzec szedł do pana Dynowskiego, wziął kubek z rąk jego i głową wskazując na mnie.

— A szo bałku, zapytał go, to syn naszego pana Antoszki? i patrzył na mnie.

— Wnuk, ojczye Zawierucho, mówił Dynowski, za młody na syna.

— Wnuk, wnuk! odrzekł starzec kiwając głową i wpatrując się we mnie; »pochoży«, (podobny) dodał robiąc ręką ruch po nosie, jakby chciał powiedzieć, że mam nos garbaty jak tamten.

— Tylko u pana Antoszki wusy były ot tak; i znów ręką wskazał na prawo i na lewo; — a to dytyna, dodał machnąwszy ręką.

Potem podniósł kubek do góry.

— Szczęść wam Boże, panyczku, zawołał i przeżegnawszy się wychylił, resztę z kubka na paznokieć wytrząsał i do ust poniósł, a potem skłoniwszy się, usiadł znów na tapczanie.

Zaintrygował nas okrutnie ten stary kozak; to też jedząc śniadanie, przypatrywaliśmy mu się ciekawie; pan Jakób okiem artysty, ja zdziwiony, gdzie on znał brata mego dziada, co był marszałkiem ziemi Rożańskiej, a którego jakim często słyszał, konfederaci panem Antoszką nazywali.

Pan Dynowski spostrzegł zapewne moje zdziwienie, bo zaraz mnie o to pytał, a ja mu odpowiedziałem,

że w istocie nie spodziewałem się znaleźć między osobami, znającymi tak dobrze stosunki moje familijne.

— Alboż to się ludzie nie znają u nas, mówił pan Dynowski; o znam ja was wszystkich, dodał, i ja i Zawierucha, to jest nie tych co młodzi i zdrowi, jak wy bat'ku starosto, ale tych co dawno w grobie; znałem ich w konfederacyi, i piłem i biłem się razem z nimi. Teraz oni na boskim sądzie, a ja się jeszcze trzymam na tym świecie; panie świeć nad ich duszą! zawołał wznosząc oczy w górę.

— A ileż pan lat liczysz sobie? pytał pan Jakób, bo przecież już pięćdziesiąt jak konfederacya barska związana została.

— Spełna sześćdziesiąt, łaskawy panie, odrzekł pan Dynowski, i to w tym roku upłynęło, a ja już wtedy byłem chorążym w milicyi halickiej i miałem lat ośmnaście. Zrachujcie bat'ku.

— Nigdy bym tego nie powiedział, mówił pan Jakób, że już panu ósmy krzyżyk dochodzi, później się chyba ludzie starzeją na waszej Ukrainie, jak u nas.

— To być może, odrzekł uśmiechając się pan Dynowski, bo nas wiatr stepowy wędzi, bo my wiecznie na koniu jak Tatary, ja na przykład, nie pamiętam, kiedy na wozie siedział.

— Więc całą tę podróż odbywasz pan konno? pytał zdziwiony pan Jakób.

— Węlykoje dywo, odrzekł pan Dynowski, w dobrym łąku na poduszce, to jak w krześle; a oklep, i na chudej szkapie nie łaska, a i to się zdarzało. No, jeszcze szklaneczkę dereniaku, mówił pan Dynowski, biorąc flaszkę ze stołu.

— Zdrowie wasze łaskawi panowie, rzekł podnosząc szklanke.

— Zdrowie raczej konfederatów, zawołał pan Jakób, i pamięci jej założyciela, starosty Wareckiego.

Zaledwie pan Jakób wyrzekł te słowa, stary konfederat uchwycił go w pół i całując serdecznie:

— Bóg wam zapłaci za tę pamięć o naszym staroście, wołał rozczulony! niech tam w Bogu spoczywa na Mołdawskiej ziemi, nie Bóg go zabrał z tego świata, ale ludzie pozazdrościli mu sławy i wydarli życie, na pohybel wroham jego \*), zawołał w zapale, i pijąc spojrzął na Zawieruchę, a ten brwi namarszczył, oczy wlepił w pijącego, a dłońią ścisnął rękę jego kindżała.

Pan Dynowski wychyliwszy szklanke, otarł czoło, potem klasnął w dłonie, a kiedy wbiegł nie duży chłopczyzna:

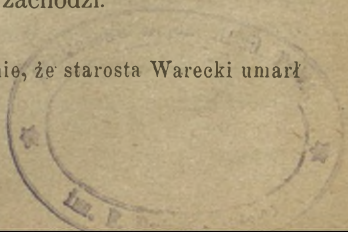
— Sołowij, zawołał, kulbacz Zezule, a panowie raczcie obejrzeć konie, jeśli wola.

Wyszliśmy do stajni, gdzie rzędami poustawiane konie przy żłobach popasały. Pan Dynowski jak prawdziwy amator chodził pomiędzy niemi, i kazał wyprowadzać celniejsze, zalecając przymioty każdego, a kiedy zajęty był strofowaniem niedbałego parobka, co konia okulał, pan Jakób trącając mnie po ramieniu:

— Zaprosz go na obiad, mój Kajesiu, zawołał, trzeba go wyciągnąć na jakie opowiadanie. Coś mi się widzi, że między tym szlachcicem ukraińskim a starym kozakiem jakaś tajemnica dziwna zachodzi.

---

\*) Powszechnie było mniemanie, że starosta Warecki umarł otruty w Jassach.



— Dobrze! dobrze! odrzekłem, szczęśliwa myśl.

A wtem pan Dynowski ustawiał czwórkę gniadych białonogich; podobały nam się, targ był nie długi, on opuścił, ja postąpił. »No połowę«, zawołał pan Jakób i uderzyliśmy w dłonie, a pan Dynowski zebrał wszystkie cztery powody użdzienic. i oddał mi je w ręce, z życzeniem, żeby mi dobrze służyły.

— Jeszcze z nami nie kwita, rzekłem, uraczyłeś nas pan śniadaniem, to nie odmówisz zapewne obiadku u mnie.

Pan Dynowski po tych wyrazach zdjął czapeczkę, chwilę się zamyślił, patrząc w ziemię:

— Służyć wam będę, baćku starosto, ale na wieczór, jeżeli pozwolicie.

— Zgoda i na to, z wieczorą czekać będziemy miłego gościa, rzekłem, ściskając rękę starego konfederata, a ten pociągnął mnie za rękę.

— Ostrożnie! rzekł, wskazując za mnie.

Odwróciłem się i ujrzałem klacz wilczatą, dziwnie ładną, którą wiódł barczysty Ukrainiec. Dochodząc do wrót, podsadziła się na zadzie, i zgrabnym skokiem przeskoczyła próg. Śliczne to było stworzenie, bo i sierść na niej nadzwyczajnie szkląca, i oko wypukłe na szerokim czole, a do tego cała budowa bez zarzutu.

Okulbaczona była w siodło kozackie, tybinki i poduszka błyszczały wytartym nieco haftem srebrnym; strzemiona, uzdeczki, napierścienia i podogonia naszywane były muszelkami, które zwano żabie oczka; powód jedwabny, karmazynowy okręcał przednią kulę, pod tylną przytwierdzony był mantelzak podróżny, a przez kulbakę przewieszona oponcza z kapturem.

Pan Dynowski podszedł do klaczy, ściągnął z siodła oponeczę, i gładząc ją z upodobaniem po szyi:

— To mój powóz, rzekł, innego nie znam prawie, i znowu pieścił ulubioną wierzchową.

A ta jakby zrozumiała, że my się jej ciekawie przypatrujemy, wyciągnęła się strzyżąc uszami, rozglądała się na około, czasem dmuchnęła podnosząc ogon i podsadzając się jakby do skoku.

— To chyba nie ukraińska poroda, mówił pan Jakób, biorąc w rękę cienką grzywę klaczy; gdzieś w Arabii musiało się urodzić to piękne stworzenie.

Pan Dynowski uśmiechnął się z widocznem ukontentowaniem, iż odgadnięto wysokie pochodzenie jego faworyty.

— W samej rzeczy, rzekł, z Arabii jej przodkowie, ale ona, jej matka, babka i wyżej w moim futorze porodzone, sam je wychowuję i kocham jak dzieci, bo mi one wiele rzeczy przypominają. Gdy patrzę na nie, to mi przed oczyma staje obraz młodości mojej, obfitej w wypadki, a mało nie w każdym jakiś koń z tego rodu gra niepoślednią rolę. Patrzcie panowie na to znamię krwawe.

Tu podniósł grzywę, i ukazał nam znak czerwony, wyraźnie jak dłoń z pięciu palcami\*).

— Nie szczegółnaż to cecha? pytał, może się nikomu nie zdarzyło widzieć jednego konia z podobną odmianą, a tu każda klacz tego rodu ma takie same. Kilkanaście ich jeszcze pozostało na moim futorze, a każda ma dłoń wypiętnowaną jak ta. Myślicie może panowie, że

---

\*) Sam miałem klacz z takim znakiem.

to igraszka natury? O nie. Krwawy wypadek przyczyną tego znamienia. Ależ to dawno było, dawno... Pół wieku przeszło, mówił wolno, zamyślony, potem machnął ręką. Ot bzdurstwa zawołał, dajmy temu pokój, panom czas na obiad, a mnie w drogę.

Zdjął czapeczkę, uklonił mi się w kolana jak przy przywitaniu, zapewnił że będzie wieczorem, na com bardzo nalegał, potem wskoczył jak młodzieniec na Zezulę, a widząc, że maże już uprężone, machnął nahajką.

— W imie Boha, mołojcy, zawołał.

I pocisnąwszy Zezulę ruszył przodem, a maże skrzypiąc mijały nas. Ukraińce kłaniali się nam, zapewne na podziękowanie za poczesne, które po kupieniu koni odebrali.

Na ostatnich, najmniej wypakowanych, siedział stary Zawierucha. I on poważnie kołpaka uchylił przejeżdżając koło nas. Żegnaliśmy go życząc szczęśliwego powrotu. Potem chwilę patrzyliśmy za oddalającymi się w tumanie kurzawy, a kiedy już byli daleko, pan Jakób biorąc mnie za rękę:

— Jedźmy, zawołał, to dopiero pierwszy akt. Wieczór będziemy mieli rozwiązanie całej zagadki. Szczególne spotkanie, na mój honor, szczególne! Zkąd znają twoje stosunki familijne, niepojmuję. Przecież nikt z twoich na Ukrainie nie mieszkał. A co to za malownicze figury, ten stary kozak jak cały wiek wygląda; a ten konfederat dziarski, rubaszny, z tą swoją klaczą, tak dziwnie naznaczoną, to jakieś tajemnicze figury. Chwała Bogu, że Dynowski na wieczór przyjedzie, bobym nie spał całą noc z ciekawości.

Wkrótce po tej rozmowie byliśmy w domu. Pan Jakób zaraz się zabrał do papieru i ołówka i rysował obu Ukraińców, Zezulę, nawet małego Sołowija, każdego w różnych pozach, a tak był zajęty tą pracą, że go oderwać od stolika trudno było. Dopiero kiedy około piątej podano na dworze herbatę, złożył rysunki, i chodząc wzdłuż domu wyglądał przybycia pana Dynowskiego.

Ja dzieliłem jego niecierpliwość, bo dziwnie mnie intrygowała nowa moja znajomość. Przechodziłem w myśli każde słowo pana Dynowskiego, jego radość, kiedyśmy pili zdrowie starosty Wareckiego, żal, kiedy mówił o przedwczesnym zgonie starosty, a jakąś zawziętość, kiedy pił na pohybel wrogom jego.

A te wszystkie uczucia tak dziwnie odbijały się na wyrazistej twarzy starego Zawieruchy, że chyba jakiś związek łączył ich ze sławnym przewódcą konfederacji barskiej. Pan Dynowski służył może pod nim, ależ ten kozak?... Tu mi stanął na myśli ów pas z klamrą, na której była cyfra J. P. Mogłoby to być Józef Pułaski; w pośrodku herb Ślepowron, czyżże to?... zajrzyjmy do Niesieckiego.

Wyciągnąłem z pułki gruby tom III. naszego heraldyka i na karcie 783 wyczytałem:

*Pułaski, herbu Ślepowron, w ruskiem województwie. Rafał na Pułaziu Pułaski, stolnik Bielski w powiecie Brańskim, był rotmistrzem Usarskim pod Chocimem 1621 roku.*

— Brawo, rzekłem sam do siebie, nie omyliło mnie przecucie, to cyfra i herb starosty Wareckiego, bo i on się na Pułaziu pisał.

Uradowany tem odkryciem, szedłem na dziedziniec, pochwalić się moją przenikliwością panu Jakóbowi, kiedym go spotkał idącego od bramy z panem Dynowskim.

Stary konfederat przywdział widno świąteczne szaty, bo zamiast kusej kurtki kozackiej, miał po za kolana kapotę z pięknego sukna, taśmami obszytą; szpinka koralowa w złoto oprawna, i takież guzy spinały półkontusik, z aksamitu niestrzyżonego, w miejsce magierki była biała czapka, obłożona barankiem kasztanowatym. Wygolony, wyświeżony, na młodego wyglądał. Szedł rozmawiając z panem Jakóbem, a za nim znany nam już kozak wiódł szpaka swego i Zezulę, której rozdęte chrapy jak pons czerwone były. Pan Dynowski jakby z odzieniem kozackiem pozbył się i rubaszości, kozakom właściwej, z rodzajem dworszczyzny, rzekł do mnie, kiedym go witał: że miło mu w domu jego odwiedzić wnuka tych, »z którymi nie jedno złe i dobre dzielił«, dodał, że nie pierwszy raz na tem miejscu znajduje się.

— Ależ tu dawniej inaczej było, mówił rozglądając się. Kościół był drewniany, ulica lipowa wiodła do dworu, a teraz gdzieś w wężyka jedzie się, mówił śmiejąc się, ledwiem trafił.

— Kościół, odrzekłem, stary przewrócił się, lipy wyschły, trzeba było na nowo budować i sadzić.

— Twarde to stworzenie człowiek, mówił pan Dynowski, budynki nie dostają, drzewa pruchnieją, a człowiek się trzyma, zawołał tupając nogą i prostując się, zdrów; nie daje się i wiekowi i biedzie.

Zaprawdę miał prawo pysznienia się czerstwą starością swoją, bom żwawszego starca nie napotkał nigdy.

W ganku była herbata; częstowałem nią pana Dynowskiego, ale mi odrzekł, że to dobre dla chorych, że on zdrow Bogu dzięki, i jako taki prosi o lampkę wina.

Pił tedy wino, pan Jakób kawę, ja herbatę. Trzy pokolenia za stołem nas siedziało, a każde czem innym się raczyło. Do wieczora pan Dynowski opowiadał nam o Ukrainie, o życiu stepowem, o polowaniach, o koniach, słowem o wszystkim, wyjąwszy o tem, czegośmy najciekawszy byli, to jest o młodości swojej. Przy kolacyi spoglądał często na portrety familijne, co wisiały po ścianach. Kilku z tych, których przedstawiały, znał dobrze, to też rozmaite przygody ich życia opowiadał. Jeden szczególnie był przedmiotem jego podziwu co do podobieństwa, a że to była zamaszysta figura, bo i wąs sumiasty, i postać harda, i oko pełne zapału, to też pan Dynowski gładząc czuprynę, przypatrywał mu się bardziej jak innym, i co moment wykrzykiwał:

Gdzie teraz tacy ludzie!... gdzie taka swoboda na twarzy!... gdzie takie harde spojrzenia!... Oj! inni ludzie byli dawniej, wiercie mi panowie!... dziś młodzieniec już stary! Dawniej starzy byli młodymi, u nich krew inaczej płynęła w żyłach; jakiś był popęd do życia awanturczego, to też na starość mieli co opowiadać o tem co widzieli, czego doznali. A dziś co? Od młodości siądzie na swojej grzędzie, zabiega, stara się, jakby miał Matuzalowe lata przeżyć, i w końcu ma chleb, ale zębów mu brak, żeby go ugryźć. Dawniej szlachcicowi chleba nie brakło, bo jak go nie miał u siebie, to go znalazł na dworach panów, i nietylko przytulisko tam było, ale wychowanie, jeżeli był dzieckiem, utrzymanie i zajęcie młodzieńcem, a pokierowanie w dojrzałym wieku.

Kogo Bóg obdarzył bystrem pojęciem, wymową i odwagą, ten pewien był, że u nas wyjdzie wysoko; iluż to ludzi bez wielkiego mienia, bez szerokich stosunków, wyszło na pierwsze figury w kraju? Ot w konfederacyi Sawa, Dzierżanowski z małego zaczęli, a marszałkowali potem ziemiom i powiatom. A samże pan starosta Warecki, wiecież panowie jakim sposobem doszedł do tego, że był pierwszym marszałkiem konfederacyi? że, jakby monarcha jaki, traktował z ościenymi potencjami?

Pan Jakób odpowiedział, że nie wiadome nam są te szczegóły; i ja to przyznałem, nalałem wypróżnione kieliszki, a pan Dynowski pokręciwszy węża, mówił dalej:

— Nikt lepiej odemnie nie zna całej historyi życia starosty, bo jedną część wiem z opowiadania ojca mego, drugiej sam byłem świadkiem naocznym!...

Tu przestał, spojrzął na nas, jakby chciał wyczytać z oczu, jakie wrażenie na nas zrobi jego założenie, a potem głaszcząc czuprynę i popiwszy węgryzna, ciągnął dalej:

— Ojciec mój w młodości swojej był w palestrze, gdzie mnóstwo cisnęło się młodzieży; jedni w zamiarze kierowania się na adwokatów, inni znowu żeby zbadać naturę praw naszych, co było koniecznem dla ludzi, powołanych do piastowania kiedyś urzędów w rzeczypospolitej. W liczbie pierwszych był i pan Józef Pułaski, młody naówczas chłopiec pełen animuszu. Radby był wojskowo praktykować, jak jego przodkowie co i pod Chocimem, i w Danii z Czarneckim i za króla Jana krew swoją przelewali; ale że to były spokojne czasy Augustowskie, wojen u nas żadnych, chyba po

za granicą, przeto pan Józef chcąc nie chcąc, dla zapewnienia sobie losu (bo rodzice jego prócz dziedzicznego Pułazia nie mieli innego mienia), choć go natura na żołnierza utworzyła, zadał gwałt wrodzonemu usposobieniu i oddał się prawnictwu. Ależ jak to mówią, rodem kurki czubate, to też pan Józef choć pracował piórkiem, jednak i szabli dla proporceyi nie nosił u boku, bo ile razy chodziło o dobrą sławę, czy swoją, czy przyjaciela, nigdy nie zapomniał zacnej krwi, z której pochodził, i najtęższym rębaczom dotrzymywał kroku, i dla tego wielce był ceniony przez swoich kolegów. Ale nie samym tylko kawalerskim animuszem rej wodził nad innymi palestrantami, bo i wymową przechodził wszystkich. To też ile razy przemówić przyszło imieniem prześwietnej palestry, czy przy powitaniu nowego marszałka i najjaśniejszego trybunału, czy przy konkluzyi takowego, nikt panu Pułaskiemu nie przeczył prawa podniesienia głosu w imieniu wszystkich, i nikt mu nie zazdrościł, kiedy w krótkim czasie został adwokatem. A że ze swoich sukcesów palestranekich znany był najznakomitszym panom, z których trybunał się składał, nie dziw więc, że zaraz z początku wielu powierzyło mu interesa swoje, które z dziwną znajomością rzeczy, a razem i sumiennością prowadził. Między klientami jego był pan Zieliński, podkomorzy ciechanowski, człowiek bardzo bogaty, który w podeszłym już wieku ożeniwszy się, miał jedną córkę i tę po stracie żony w klasztorze wychowywał. Pan podkomorzy, jak to wielu u nas robiło, lubił każdy interes przed kratki wywodzić, częste stąd miał stosunki z panem Pułaskim, a poznawszy piękne przymioty duszy jego, raz w pou-

fnej rozmowie wręcz mu powiedział, że widzi w nim człowieka, któryby mógł wielką rolę w rzeczypospolitej odgrywać, gdyby nie brak fortuny; że on chce naprawić tę niesprawiedliwość losu i ofiaruje mu rękę swojej jedynaczki. Pan Pułaski zdziwiony tem postanowieniem, robił mu niektóre objećcy, szczególnie te, że nie ma szczęścia być znanym podkomorzance, że się obawia, czy nie będzie miała wstrętu do jego osoby; ale kiedy podkomorzy zapewnił go, że córkę tak wychował, iż bez wahania się przyjmie męża z jego ręki, wtedy uradowany upadł do nóg podkomorzemu, a ten go wkrótce miał przedstawić córce.

Za kratą było pierwsze widzenie się narzeczonych. Podkomorzanka ze spuszczonei oczami, wysłuchawszy propozycyi ojca, z cicha odrzekła, że się zgadza z jego wolą, a kiedy potem nieśmieie wzrok podniosła na narzeczonego, nie żałowała danego przyrzeczenia, bo pan Pułaski był jednym z najurodziwszych ludzi, jakich napotkać można było.

Za kratą znowu odbyła się i krótka konkurencya, i zrękowiny, a kiedy panna skończyła rok szesnasty, w tymże klasztorze i ślub się odbył. Zaraz po ślubie porzucił pan Pułaski adwokaturę, i wyjechał z żoną do rodzinnego Pułazia, a nie długo potem podkomorzy, widząc dobre pożycie małżonków i szczęście córki, oddał im cały majątek, który nie tyle z dóbr, jak ze znacznych kapitałów się składał. Zdaje się, że od tej chwili myśl konfederacyi, któraby kraj uwolniła od obcego wpływu, zajęła umysł pana Pułaskiego, bo zaczął zawiązywać stosunki ściślejsze ze znakomitszemi w kraju osobami, a że pod dobrym rządem rosło mienie, naby-

wał tedy majątki, ale nigdy graniczące z sobą, tylko coraz w innych województwach i ziemiach. A kiedy przyjaciele dziwili się temu, to on im na to odpowiadał: »że fortuna dla człowieka, nie człowiek dla fortuny stworzony, że kogo los obdarzył mieniem, ten zaciągnął obowiązki, z których nie inaczej, jak rozszerzając kółko swoje wywiązać się może«. Dużo później dopiero, kiedy podniósł konfederacyę w Barze, zrozumieli oni, że nabytym, które robił, miały cel polityczny.

Nie długo potem i w stolicy dał się poznać pan Pułaski. kiedy posłował z powiatu Brańskiego. To też z latami i zaszczyty go nie minęły, bo król w krótkim czasie nadał mu starostwa Wareckie, Strzemeckie i Świdnickie. Towarzyszem chorągwi został dla tego, żeby mieć stosunki w poważnych znakach, jak nazywano pancerne i usarskie chorągwie, potem został pułkownikiem kawalerji krzyża świętego, w końcu pisarzem nadwornym koronnym, jako reminiscencya prawniczego zawodu swego. Wszystko się wiodło szczęśliwej parze, honory sypały się na starostę, mienie rosło znakomicie, najlepsze pożycie domowe półogostał Pan Bóg siedmiorgiem dzieci, z tego trzech synów, wiele obiecujących młodzieńców, i cztery piękne córki.

Wkrótce nastąpiła śmierć Augusta III, potem bezkrólewie i elekcyja Poniatowskiego. Pan starosta Warecki, dusznie przywiązany do domu Saskiego, popierał wybór którego z królewiczów; ale kiedy Stanisław otrzymał górę, wrócił do domowej zagrody, nic nie żądając od nowego króla.

Wszystkie te szczegóły wiem od ś. p. ojca mojego, któremu nic obcego nie było, co dotyczyło starosty; bo

choć dostojeństwem, mieniem, stosunkami mógł stać się pomiędzy najpierwszymi w kraju, nie zapominał swoich stosunków młodości, i najuprzejmiej przyjmował u siebie dawnych kolegów z palestry. W tym to czasie i ja dorosłem... Wyszędłszy ze szkół od Bazylianów w Kamieńcu, jechałem do rodzicielskiego domu, przemysłiwając przez drogę, jak też mnie ojciec pokierować zechce. Wojaczka mi do smaku była, a bałem się okrutnie, żeby ze mnie jurysty nie chciał zrobić, bo czułem, że byłby ze mnie prawdziwy safandula. Ale jakież było miłe zadziwienie moje, kiedy przy wstępie ojciec mi zapowiedział, że mnie chce umieścić na dworze starosty Wareckiego, że pisał o to do niego i otrzymał w odpowiedzi zapewnienie, że jak dziecko własne przyjmie syna dawnego kolegi. Zabawiwszy tedy tyle czasu w domu, ile potrzeba było na oporządzenie się przyzwoite, odebrawszy błogosławieństwo obojga rodziców i przestrogi od ojca, który mi zalecał, abym był wierny temu, czyj chleb jeść będę, a dbały o własną sławę, żebym nie dziwił się niczemu co widzieć będę, bo to nie przystoi dla człowieka do korony zrodzonego.

»A że — mówił dalej — pierwsze wrażenie nie raz o losie człowieka stanowi, nie mieszajże się Waśc, jak staniesz przed starostą, bo to jest wielkiej powagi człowiek, mógłbyś więc łatwo języka w gębie zapomnieć«.

Przyrzekłszy tedy zastosować się do danych mi przestróg i ucałowawszy nogi rodziców, pospieszyłem do Horbaszy, gdzie na ten czas starosta przebywał. Dojeżdżając do dworu, poznałem zaraz, że to pańska rezydencja, bo dom choć drewniany, bardzo był obszerny, przystawki ze wszystkich stron domu wznosiły się, śro-

dek na piętro podniesiony, okna duże w ołów oprawne na boku między drzewami kaplica murowana, dalej takiż skarbiec ze starej baszty przerobiony. Tu bowiem dawniej stał zamek, z którego pozostało z frontu kawał muru obwodowego ze strzelnicami, z dwóch zaś stron wały, z ziemi usypane, starannie darniowane, i brama z kordegardą i gankiem dla straży. Ogromne lipy ocieniały budynki; starosta bowiem lubił bardzo drzewa, to też we wszystkich jego dobrach, które znałem, jak w Grabowie, Derażniach, Kurdynowicach, pełno drzew widziałem, po większej części ręką starosty sadzonych.

Chciałem mu się dobrze zaprezentować; to też w ostatniej wsi przed Horbaszą ustroiłem się z partesa, i wsiadłem na świeżego konia, którego przez całą drogę pacholek luzem prowadził. A siarczyna to była bestya, ten mój sandziak, po ogierze ze stada Borzęckich, którego przodka jak mówiono, jakiś Borzęcki pod Wiedniem na baszy Anatolskim zdobył\*). Dla tego też mój ojciec nazwał go sandziakiem, niższy niby urząd od jego przodka, który miał się zwać baszą. Siwy to był źrebiec, gdzie niegdzie hreczka na nim jak bobem posypał, czwanił się podemną potrząsając kutasem u podgarla, kiedym wjeżdżał w bramę Horbaszyckiego dworu... Zaraz na wstępie dwóch kozaków wystąpiło, pytając czego żądam? A kiedym powiedział, że mam list do JWgo starosty, wskazali mi ręką na kaplicę, przed której drzwiami dużo stało ludzi z odkrytymi głowami. W dziedzińcu zlązłem z konia, oddałem go pacholekowi, a za

---

\*) Stado to istnieje dotąd i jest podobno własnością Abramowiczów.

mną wjechała teleżka moja, dwoma drabkami uprężona któremi wiózł wyrostek z węgierska ubrany. Poprawiwszy pasa i odzienia, szedłem do kaplicy; a dobrze widno tuszyli o mnie ci, co stali przede drzwiami, bo mi się zaraz rozstąpili. Na progu ukląłem, bo to właśnie podniesienie było, a kiedym powstał, ciekawie spoglądałem po tych co byli w kaplicy. Po obu stronach ołtarza stały ławki. W tej, co z prawej strony, jakem się później dowiedział, siedziała sama starościna z panią podkomorzyną Rożańską, za ławką rzędem stały cztery starościanki, za niemi rezydentki i fraucymer; w ławce po lewej stronie siedział starosta z podkomorzym, który przybywszy do dziedzicznych swoich Dunajowiec, odwiedził starostę, z którym był w wielkiej zażyłości, a za ławką stali synowie starosty: pan Kazimierz starosta Zezuliniecki, i pan Franciszek, młodziutki na ów czas chłopak; za nimi zaś tłumem szlachta okoliczna i dworzanie.

Jeżeli ja się ciekawie przypatrywałem będącym w kaplicy, to nie mniej, bliżej mnie stojący, widząc nieznanomego, oglądali się, szepcząc między sobą. Zmieszało mnie to trochę, ale pamiętny przestrogi ojcowskiej, w duchu powtarzałem sobie:

— Balcerku nieboże, nie trać fantazyi, bo od pierwszego wstępu na ten dwór twoja przyszłość zależy...

I jakby tą uwagą uzbrojony w nową odwagę, kiedy się msza kończyła, wyruszyłem z innymi z kaplicy, a spostrzegłszy stojącego koło mnie młodego jak ja szlacheica, spytałem uchylając czapki:

-- Któren to z panów siedzących w pierwszej ławie jest pan starosta Warecki?

A ten mi najgrzeczniej odrzekł, że mi go pokaże. Jakoż wkrótce wyszły panie, za nimi rozmawiając podkomorzy ze starostą, a ów młody trącając mnie po ramieniu wskazał na idących:

— Ten wyższy, rzekł, to JWny starosta.

Podziękowałem za to objaśnienie, i zachodząc drogę starości, wyciągnąłem list od ojca, i kłoniąc mu się w kolana:

JW. panie, rzekłem, ja jestem Balcer Dynowski, a to jest pismo od ojca mojego.

Starosta chwilę się zatrzymał.

-- Dynowski, zawołał, syn pana Józefata?...

— Tak jest, JW. panie; a dowodem tego list, który racz JW. pan odczytać.

Starosta wziął pismo, spojrział na pieczętkę, nim je otworzył, a kiedy był zajęty czytaniem, ja miałem czas przypatrzeć się jemu i synom. Miał słuszną moją ojciec, że trudno było napotkać wyrazu większej powagi, jaka się malowała na twarzy starosty. Wysoki, silnie zbudowany, z podniesioną do góry głową, miał minę prawdziwie senatorską. Za nim jakby żywy obraz jego młodości, stał pan Kazimierz. Rycerską jego postawę podnosił jeszcze ubiór wojskowy, bo na węgierskiej bebieszy błyszczał mu pod szyją ryngraf stalowy, złotem nabijany; w pośrodku na emalii wizerunek patrona jego, św. Kazimierza, przez ramię ładownica w karpią łuskę, i przy skórzanym pasie bułat perski, na dłoń szeroki. Pan Franciszek, bardziej do matki podobny, miał w spojrzeniu smutny jakiś wyraz, jakby zamię bliskiego zgonu, który znalazł gdzieś koło Włodawy tak nieszczę-

śliwie, że nikt z towarzyszy jego nie mógł potem zdać pewnej relacji, gdzie i w jaki sposób zabity został.

Tak mi się przedstawiła cała ta rodzina, której wszyscy członkowie niepospolita mieli wkrótce odegrać rolę w rzeczypospolitej: brakowało tylko pana Antoniego, który gdzieś u rodziny matki na ten czas przebywał.

Starosta przeczytawszy list, schował go za pas, przypatrując mi się.

— No, mości Dynowski, rzekł do mnie, ojciec waści chce, żebym cię przyjął w dom mój, na co ja z przyjemnością przystaję; bo jeżeli masz część tylko poczytych zalet ojca, to dla niego będzie pociecha, dla waści pożytek.

Ukłoniłem się staroście, zapewniając, że zrobię co w mojej mocy, żeby sobie zaskarbić względy jego. A ten odwrócił się do synów:

— Mości starosto, rzekł do pana Kazimierza, to pan Balcer Dynowski, syn towarzysza mojej młodości. Radbym bardzo, żebyście sobie do serca przypadli...

Obaj młodzi czapki uchyłili, witając mnie, a pan Kazimierz podając mi rękę:

— Mam nadzieję, rzekł, że jak się poznamy, będziemy się kochać.

Tak łaskawe przyjęcie dobrze mi kazało tuszyć o dalszem mojem powodzeniu na dworze starosty. Jakoż pan Kazimierz po dosyć długiej ze mną rozmowie poznał mnie z panem Golianem, nieodstępnyim swoim towarzyszem, ten znowu z innymi młodymi, bawiącymi na dworze starosty, i już w kilka dni byłem w Horbaszy jak we własnym domu.

Zatrudnienie moje prawie było żadne. Pan starosta dawał mi czasem coś do przepisania, czasem mnie z listem wysłał do którego z bliżej mieszkających panów, nieraz mu w podróży towarzyszyłem. którą odbywał bardzo szybko, nigdy powozem lub karetą, tylko długim wasągami, porządnie okutym; w środku siedzenie dla starosty i dworzanina, z przodu dwóch kozaków, a woźnica z konia poganiał piątkę w krakowskich chomontach.

Wesoło zawsze było w Horbaszy, częste zjazdy, zabawy i polowania. Młodzież się zjeżdżała zewsząd, bo cztery urodziwe i posażne panny były w domu. Na polowaniach szczególnie się odznaczał pan starosta Zezuliniecki, czy to trafnością strzału, czy nadzwyczajną rączością w dojeżdżaniu za chartami, a ja zapalony do tego rodzaju łowów, małym kiedy w tyle za nim został, to też za to nieraz i ja i mój sandziak aplauz otrzymaliśmy.

Raz pamiętam w późnej jesieni było polowanie na wilki, dla uczczenia przybycia pana podczaszego litewskiego. Wszyscy byli konno, my młodzież każdą ze smyczą chartów, bo gończe miały pędzić wilki na pole. Pan starosta z panem podczaszym przejeżdżając stanowiska zatrzymali się koło mnie, bo właśnie gończe w tę stronę nacierały okrutnie. Stoimy chwilę, w tem coś mi się mignęło, oka nie spuszczam z tego miejsca, aż tu ogromny kobyłarz sunie ku mnie. Spuściłem charty: Huż! ha! krzyknąłem, i pędzimy we trzech. Dopadły go charty, odciął się, te za szarawary i trzymają, a ja z konia wskoczyłem z tyłu na bestyę, i schwyciwszy za uszy zadyszanego wilczyśka:

— Klój JW. pan! zawołałem na pana podczaszego. Ten pchnął kordelasem, wilk się podemną rzucił, i upadł na polec.

— Brawo! zawołał pan podczaszy, gracz z waści, dopomogłeś mi zakłóc wilka, przyjmże odemnie ten kordelas na pamiątkę.

A śliczna to broń była, klinga szwedzka, oprawa w srebro wyzlacana, na rękojeści herb podczaszego, Piława, dziwnie pięknie wyrobiony. I pan starosta pochwalił śmiałość moją; a kiedy zajęty byłem troczeniem wilka, słyszałem jak pan podczaszy mówił do starosty:

— To zuch chłopak! takich nam trzeba, pamiętaj o nim panie Józefie!

— Pomyszę ja o nim, odrzekł starosta, i obaj odjechali odemnie.

Ten drobny na pozór wypadek zrobił mi już rodzaj reputacji na dworze starosty, wszyscy mi winszowali, zazdrościł może nie jeden. Pan Kazimierz, który cenił bardzo odwagę, polubił mnie. To też nie raz późno w wieczór siadywałem u niego z Golianem. Pan starosta częstsze mi zlecenia dawał. Jak przyszło wysłać w noc ciemną, w złe drogi, wyszukać kogo, to pan starosta pomyślawszy:

— Wyszłę ja Dynowskiego, mawiał, on pewnie dobrze się sprawi.

Jakoż nieraz tygodnie całe bywałem w podróży, a zawszem i listy oddał i odpowiedź przywiózł.

Od niejakiego czasu ruch był wielki na dworze starosty, coraz gęstsze odwiedziny przybywały. Po takich zwykle wysyłano nas z listami w różne strony. Często jacyś nieznanomi ludzie przybywali do Horbaszy.

Wszyscy się domyślali, że się coś niezwykłego gotuje, bo nieukontentowanie dla rządów nowego króla było coraz większe. Panowie, którzy u nas bywali, nie dawali mu tytułu króla, ale go tylko stolnikiem litewskim zwali. Pan podkomorzy Rożański, pp. Potoccy, podczaszy litewski i starosta Szczyżewski coraz częstszymi gośćmi byli. Biskup Kamieniecki odwiedzał także parę razy Horbaszę, a pan Rola Kochański i pan Zagórski starosta Owrucki, prawie ciągle przesiadywali; to też później, kiedy się konfederacya zawiązała, pierwszy był pisarzem konfederacyi, drugi marszałkiem kijowskim.

Rozmaitego rodzaju przybory gromadzono na dworze starosty, dużo koni sprowadzono z różnych dóbr jego. Pan starosta Zezuliniecki jeździł to do Berdyczowa, to do Bałty, i tam konie skupował. Z jednej takiej wycieczki przyprowadził on klacz wilczą, nadzwyczaj piękną, bogatym dywdykiem przykrytą; wszyscyśmy ją podziwiali. Pan starosta Warecki, dla którego przeznaczoną była, szczególnie jej się przypatrywał, a kiedyśmy wypytawali p. Golia, od kogo p. Kazimierz nabył to ładne stworzenie, zbywał nas to tem to owem; później dopiero dowiedzieliśmy się, że to był prezent dla starosty od Hana Kierym-Gereja, którego posłannik czekał w Bałcie na przybycie pana Kazimierza.

Od czasu pobytu mego w Horbaszy, nigdy nie był w pokojach, które zajmował starosta, a które osobny narożnik od strony ogrodu stanowiły, a tak były drzewami ocienione, że mało co i widno było przystawki. Jednego dnia wieczorem wszedł do mnie Zawierucha, ulubiony kozak starosty, i doniósł mi, że mnie starosta potrzebuje.

— Czy nie ten sam Zawierucha, któregośmy poznali?... pytał ciekawie pan Jakób.

— Ten sam, odrzekł pan Dynowski, nigdy on starosty nie odstępował, kochał go jak ojca, bo mu życie był winien. Dziś Zawierucha starzec bogobojny; ale w młodości było to kawalek łotra. Dzieckiem małym porwał go jakiś ataman kurenni i zawiózł na Zaporozże, a kiedy dorósł, zapisał go w rejestr Siczy, przyjął go za syna i we wszystkich wyprawach towarzyszył mu. Aż raz ataman dowiedziawszy się, że w państwie humańskim nie daleko granicy jest monasterek, liche na oko, ale wiele kosztowności zawierający, tak w wotach jak i sprzętach kościelnych, umyślił wyprawić się w kilkanaście ludzi, żeby go zrabować, a jak zwykle Zawierucha mu towarzyszył.

Zaporozce, przebywszy granicę, w pierwszej zaraz karczynie pohulali na fantazyą, a ataman ich napotkawszy chłopca z Humańszczyzny, częstując go wódką, wypyttywał o drogę do monasterku. Zadziwiło to nie pomалу chłopca, co oni mają za powód wybadywania; wiedział, że to Zaporozce, więc mogą się nadużycia jakiegoś dopuścić, wskazał mu drogę dalszą wprawdzie, ale do monasterku wiodącą. A kiedy dobrze podchmieleni byli, chłop, który pił w miarę, co tchu do Humania pośpieszył donieść gubernatorowi o tem, co się święci. A był naówczas gubernatorem dóbr humańskich p. Mładonowicz, co go potem hajdamaki zamordowali. Tęgi to był człowiek. Miał on układ z atamanem koszowym i płacił coś Siczy żeby dóbr humańskich nie najeżdżali; ale nie kaźden półkowódzca stosował się do tego zakazu i nieraz wycieczkę jaką zrobili, składając całą rzecz na

Wołochów, gdzie łotrów było bez liku. Jak się udała wyprawa, to przepadło; ależ jak którego z rabusiów dostał p. Mładonowicz w swoje ręce, to bez ceremonii na pal wbijać kazał i kwita.

Wysłuchawszy chłopą, bez straty czasu zebrał kozaków nadwornych, milicya piesza powsiadała z tyłu na konie kozackie, i co tchu dążyli do monasterku. Jakkolwiek pośpiech był wielki, kiedy dojeżdżali, ujrzeni w płomieniach zabudowania klasztorne, wpadli na dziedziniec, milicya przodem z samopałami, kozaki z szablami w rękę. Rabusie dosiadłszy koni, umykali co tchu, zostawiwszy w rękę pana Mładonowicza kilku zabitych i rannych. Między ostatnimi był Zawierucha, który trzymał atamańskiego konia, kiedy się bójka rozpoczęła, i dostał kulą w nogę. Przewieziono rannych do Humania, a co któren wyzdrowiał, to pan gubernator bez pardonu na pal dla postrachu wbijać kazał. Przyszła nareszcie kolej i na Zawieruchę, prowadzili go milicyanci wśród ogromnego nacisku ludzi, i kiedy dochodzili do bramy miejskiej, wjeżdżała nią właśnie karetą sześcią końmi, w której siedział p. starosta Warecki z żoną, w cięży natenczas z najstarszą starościanką. Nie wiadomo czego spłoszyły się forytarskie konie, podobny zszadził forysia i rzucił się naprzód, bijąc zadem, lejcowe poszły za jego przykładem, i jak szalone pędziły z karetą naprzeciw tłumowi, co szedł przypatrywać się egzekucyi Zawieruchy. Na ten widok wszyscy zaczęli uciekać zapomniawszy skazańca, a niektórzy obejrzawszy się z przestrachem, widzieli, iż karetą leci prosto na dół, do fundamentów wykopane, gdzie nieochybnie byłaby się rozbiła. Wtem popadały forytarskie konie,

pototały się lejcowe, karetą się zatrzymała, hajducy rozwarli drzwiczki, z których wyskoczył p. starosta, trzymając na ręku zemdloną żonę, a kiedy przyszła do siebie, szedł zobaczyć co zatrzymało rozhukane konie, i ujrzał zemdlonego na ziemi kozaka skazańca. Ręce konwulsyjnie ścisnęły lejce przy wędzidłach, a on błądź leżał między końmi. Domyślił się że to jego zbawca, to też go podnieść kazał i przenieść do gospody; tam mu opowiedzieli, że kiedy wszyscy potracili głowy, skazany rzucił się naprzeciw koni, uchwycił je za wędzidła, podnosząc nogi zawisł im u pyska, i ciężarem swoim powalił je o ziemię, ale nie bez szkody dla siebie, bo koń jeden padając złamał mu obojczyk.

Starosta kazawszy go opatrzyć, poszedł do pana Mładonowicza, któremu opowiedział przysługę, jaką mu oddał Zawierucha, i prosił o jego ułaskawienie, na co ten chętnie przystał. A kiedy wydobrzezał, wziął go do siebie, a tam wpływ zbawienny starości i dobre obchodzenie nowego pana ułagodziło tę dziką naturę.

Przywiązał się też do starosty, namiętnie pokochał dziecięcę, której życie uratował, a ta instynktowo widno czuła co mu winna, bo w dzieciństwie — jak mi mówiono — nikt ją tak zabawić nie umiał, nigdzie tak chętnie nie usnęła, jak na rękach naszego Zaporozca, który dziś ma wszystkie przymioty poczciwego człowieka. Jedno co mu zarzucić można, że nie wiele dbając o własne życie, za nic ma cudze, kiedy chodzi o dopełnienie włożonego nań obowiązku.

Młody to był jeszcze człowiek, kiedym go poznał, niezmiernej siły i zręczności, ślepo posłuszny na najmniejsze skinienie starosty, a do tego tak dyskretny, że

nikt nie próbował nawet wybadywać go o to, co starostę dotyczyło, bo wiedzieli, że pan tego nie lubi, a Zawierucha najmniejszą oznakę ciekawości zaraz mu donosił.

Starosta często, jakem mówił, dawał dworskim rozmaite zlecenia, z listami ich rozsyłał, a wysłany odbierał najczęściej instrukcją i pieniądze na drogę od p. Zbrożka, łowczego Weñdeńskiego, który dworem całym zawiadywał. Ale po kogo przyszedł Zawierucha i wprowadził go do pokoju starosty, ten już mógł być pewnym, że jakieś poselstwo poufne mieć będzie. Niepomału mnie też zdziwiło, kiedy jednego wieczora ujrzałem wchodzącego do mnie Zawieruchę, który mnie wezwał do pana. Zastał on mnie u pana Goliana, z którym w warcaby grałem. Kiedy ten usłyszał, o co rzecz chodzi:

— Winszuję, rzekł, coś to musi być ważnego, kiedy cię p. starosta o tak późnej godzinie woła. I zaraz wyszedł do sieni z Zawieruchą, a ja posprzątawszy i świecę zgasiwszy, wyszedłem za nimi i zastałem z cicha rozmawiających.

Za mojem zbliżeniem się, pan Golian życząc mi dobrej nocy, poszedł do swojej stancyi, a ja poprzedzony przez Zawieruchę, szedłem do starosty... Chwilem się zatrzymał w przedpokoju, Zawierucha poszedł oznajmić o mojem przybyciu, a potem mnie wprowadził do pokoju starosty. Duża to była izba, adamaszkiem papuziego koloru obita, w pośrodku stół, przy którym pisał p. Rola Kochański, na stole pełno papierów i świecznik o kilku ramionach; w jednym kącie pokoju siedział ksiądz Marek, karmelita. Z pod kaptura, który miał na głowę nasunięty, błyszczały czarne jego oczy, brewiarz na ko-

lanach spoczywał, widno odmawiał pacierze; bliżej drzwi, przy kominie, na dużym krześle z poręczami, zasiadł pan starosta w rannej ferezyi czarnej aksamitnej, popielicami podbitej. Głaskał on ulubionego charta, i kurząc lulkę, zamyślony patrzył w ogień, a ciszę, jaka panowała w pokoju, przerywało tylko czasem głośniejszymi wymówionymi przez księdza: *Ora pro nobis (módl się za nami)*. Chwilem powstał przy drzwiach, aż starosta spoglądając na mnie:

— Mości Dynowski, rzekł, wać podobno nie dawno ze szkół wyszedł, to musisz pamiętać to szkolne przykazanie, że choćby cię pieczono i smażono w smole, nie gadaj nigdy co się dzieje w szkole.

— Pamiętam dobrze, JW. panie, odrzekłem kłaniając się staroście.

— Otóż to samo, mój mosanie, stosuje się i do służby dworskiej, mówił starosta; pamiętaj wać sobie, że ani ciekawości, ani wielomowności nie lubię, że wymagam od tych co są w mojej służbie, jak największej dyskrecyi i punktualnego dopełnienia zleceń.

Zapewniłem starostę, że się zastosuję do jego woli, a ten wziął ze stołu list zapieczętowany i podając mi go rzekł:

— Masz wać list do księdza biskupa Kamienieckiego, oddasz go w ręce samemu biskupowi, nikomu innemu, i respons (odpowiedź) przywieziesz. Wyjedziesz przededniem, pieniądze na drogę wyliczy waści p. Zbrożek, a teraz milczeć mosanie, przed nikim ani słowa, gdzie i do kogo jedziesz. Pamiętaj na szkolne przysłowie i zdrów jédź i powracaj.

Uradowany, że ważną jakąś sprawę mam do spełnienia, pożegnałem starostę i zaraz poszedłem do pana Zbrożka, który musiał już być uprzedzony, bo mi zaraz pięćdziesiąt czerwonych złotych wyliczył, ogromne pieniądze na tak krótką podróż. Od niego szedłem do mojej stancyi, aliści na dziedzińcu dogoniła mnie panna stołowa pani starościnicy, wołając żebym szedł do sali i czekał, bo mam odebrać jakieś zlecenie.

Szedłem więc za nią, i chwilę ledwie postać w sali, kiedy weszła najstarsza starościanka, co potem poszła za p. wojewodę Sieradzkiego. Skłoniwszy mi się :

Mości Dynowski, rzekła, podobno pan do Kamieńca jedziesz, a ja mam pilny sprawunek tam do załatwienia ; waszmości chcę go poruczyć...

Jużem miał na końcu języka wymówić, że chętnie dopełnię jej rozkazu, ale mi stanęło w myśli zalecenie starosty, i kłaniając się starościance, upewniłem, że ja nie do Kamieńca, ale do Bałty jadę, gdzie mam się dowiedzieć, czy nadeszły konie z Marchwy od p. starosty Kaniowskiego.

— A cóż to za szkoda, mówiła z żalem starościanka, taki mam pilny interes do Kamieńca, że ktoby mi załatwił, miałyby prawo do mojej wdzięczności, bo to chodzi o niespodziankę dla mego ojca, którą mu na nowy rok zrobić chcemy. Poradz mi w tem waszmość, panie Dynowski, dodała z przymileniem i tak się ładnie na mnie patrzyła, że już gotów byłem podjąć się jej zlecenia ; wszelako zapewne mój anioł-stróż natchnął mnie myślą obstawania przy mojem. Dla tego odrzekłem, że gdyby nie pilny wyjazd do Bałty nie żałowałbym ani fatygi ani konia, i dniem i nocą leciałbym do Kamieńca,

dla spełnienia co żąda, ale po powrocie będę na jej rozkazy.

— Żałuję bardzo, rzekła z przygryzkiem, żem się do pana udała z mojem żądaniem, bom się nie spodziewała odmownej odpowiedzi. Jedźże pan sobie szczęśliwie za końmi, i bądź pewien, że odtąd nigdy ani ja, ani żadna z sióstr moich nie będzie pana obarczać naszymi zleceniami.

Po tych słowach szła ku drzwiom, ale tak wolno, że wyraźnie miała nadzieję, że ostatnie jej słowa zmienią moje postanowienie, ale ja kłaniając się znowu:

— Najuniższej przepraszam, rzekłem, że tą razą posłusznym woli pani być nie mogę; służba wolność traci, a ja w usługach JWgo rodzica pani, przedewszystkiem jego rozkazy spełniać muszę.

Starościanka po tych wyrazach kiwnąwszy głową wyszła, a ja idąc do mojej kwatery, myślałem sobie w duchu: gniewaj się jak chcesz, więcej ja dbam o łaskę starosty, niż o twoje dasy.

Zbudziłem zaraz chłopaka, żeby mi suknie świąteczne zapakował i zamyslałem przespać się trochę, kiedy wszedł do mnie pan Golian.

— Panie Dynowski, rzekł mi, przybył nam gość niespodziewany, pan Lubosz Węgleński, podstoli chełmski. Zajechał on do mieszkania pana Kazimierza, nie chcąc budzić pana starosty. Powiedział mi, że jadąc tu spotkał w drodze rodzica Wpana, i ma pokłon od niego; zamiast więc spać chodź mi dopomóż przyjąć miłego gościa.

Poszedłem tedy za panem Golianem do jego stancyi. Zastałem w istocie podstolego, który mi pozdrowienie od ojca przywiózł, i pytał zarazem, czy nie mam pro-

jektu na święta jechać do domu, bo ojciec radby się ze mną opłatkiem podzielić. Odrzekłem, że to zależeć będzie od pozwolenia p. starosty.

— Cóż wielkiego, zawołał p. Golian, jak tylko pan. Kazimierz wróci, to on się za Wpanem wstawi.

— A kiedy p. Kazimierz wraca? spytałem.

— Jutro go się spodziewam, mówił p. Golian, i zaraz interes się załatwi, a pan podstoli zawiezie dobrą nowinę rodzicom Waćpana.

— Jutro nie będę w domu, odrzekłem.

— A gdzie Bóg prowadzi? spytał ciekawie p. Golian.

— Jadę do Bałty po konie, rzekłem obojętnie, przewidując, że mnie wybadywać będą.

— A cóż u licha! mówił p. Golian; niedawno z panem starostą młodszym sprowadziliśmy konie z Bałty, i znowu waszmość po konie tam jedziesz. To dziwna, nie wiedziałem, że z waćpana taki znawca, że się rejonem trudnić podejmujesz.

— Ja mam się tylko dowiedzieć, czy nie nadeszły spodziewane konie z Buczacza i Marchwy, ale nie skupywać nowe, zresztą, dopełniam zlecenia wspólnego naszego pryncypała, a nie dyskutuję, czy to potrzebne czy nie.

— Doskonale, odrzekł, uśmiechając się p. Golian i zasiedliśmy do wieczerzy.

Pan Golian, który miejsce gospodarza zastępował, wniósł zaraz dużym kielichem zdrowie miłego nam gościa, potem pan podstoli nieobecnego pana starosty Zezulinieckiego, znowu p. Golian rodziny pana podstolego. Po tym trzecim kieliszku uczułem już, że mi krew do głowy bije i że jeszcze jeden, a byłbym pijany. Postanowiłem też nie pić więcej, bo widziałem, że się na

gęste libacye zanosi. Jakoż p. Golian niedługo powstał, i wnosząc większy jak poprzedni kielich do góry, zawołał z zapalem:

— Nadziei rzeczypospolitej! *Vivat!* JWny starosta Warecki!

— Bravo! bravo! wołał podstoli, kochanego naszego starosty zdrowie wypiję choćby smołą. W twoje ręce mości Dynowski!...

— Daruj JWny pan, rzekłem nieśmiało, że ja młody niezwyčajny do trunku, odmówić muszę to zdrowie, bo gdybym wypił ten ogromny kielich, czuję, żeby mnie przytomność opuściła, a przed świtem wyjeżdżać muszę.

Podstoli spojrział na mnie z zadziwieniem i wypił, słowa nie wyrzekłszy, a pan Golian nalewając kielich:

— To są żarty, rzekł, p. Dynowski zapewne nie zastanowił się nad tem, co powiedział. I podał mi kielich.

Bogiem a prawdą nie obdarzyła mnie natura wielką cierpliwością, a że już początkowa rozmowa z p. Golianem nie była mi do smaku, teraz kiedym miał parę kielichów w głowie, odrzekłem z żywością, że preceptorów nie potrzebuję i sam wiem co mam robić, i odsunąłem rękę z kielichem, a pan Golian stawiając go na stole:

— Pan podstoli dobrodziej, rzekł, niech raczy wybaczyć panu Dynowskiemu, jeszcze on tchnie infamią, bo niedawno z pod dyscypliny OO. Bazylianów wyszedł.

Myślałem, że mnie paralusz naruszy na te wyrazy; bo gdzież jest młody chłopiec, któryby za największą urazę nie poczytał, kiedy ktoś robi przymówki do młodych lat jego. Zerwałem się też prawie nieprzytomnie, i chwytając stojącą w kącie karabełę podstolego, wyrwałem ją z pochwy.

— Broń się, krzyknąłem na pana Goliana, bo ci łeb rozwalę!...

Ten uskoczył na bok, uchwycił za szablę i jednym skokiem był w sieni. Ja myśląc, że mi uchodzi, goniłem za nim, a kiedyśmy stanęli na dziedzińcu, odwrócił się i nastawił mi żelazo... Zaczęliśmy się składać, ja jak szalony młyńca wywijając, a p. Golian ustępując odbijał tylko moje rązy. Jużem poczuł lekkie draśnięcie po głowie i chciałem się pomścić, kiedy mnie ktoś z tyłu za rękę uchwycił. Odwróciłem się raptownie i ujrzałem pana starostę, który spoglądając surowo na nas obu:

— Co to znaczy? spytał gniewny.

Pan Golian opowiedział powód naszego zajścia, a że jego opowieść była niejako usprawiedliwieniem dla mnie, słowam też nie wyrzekł, kiedy mówił, a starosta wysłuchawszy go:

— Czy tak było jak mówi p. Golian, spytał patrząc na mnie...

— Tak, do słowa, odrzekłem krótko.

Starosta odwracając się do p. Goliana:

— Idź waść do stancy, i drugi raz dla burdy nie opuszczaj czcigodnego gościa, któregoś był powinien podejmować w nieobecności p. Kazimierza.

A kiedy ten spełniając dany sobie rozkaz odszedł, starosta rzekł mi:

— A waść nie bądź drugi raz tak skory do bójki i wyjeżdżaj za parę godzin.

Odszedłem uradowany, że na tak łagodnem upomnieniu skończyła się cała sprawa, przespałem się nieco, i kiedy czwarta biła na zegarze kaplicznym, już byłem w drodze.

Upaliłem z jakie dwie mile. O wschodzie słońca sen mnie zmorzył i kiwając głową drzemałem... Możem spał z godzinę, kiedy wołanie : Stój! stój! zbudziło mnie. Otworzywszy oczy ujrzałem się przed karczmą; sanie czterema końmi uprężone stały przed nią, na podsieniu był pan starosta Zezuliniecki, a we wrotach stajni pan Franciszek.

— Gdzie tak waść jedziesz?... pytał p. Kazimierz.

— Do Bałty, odrzekłem moim zwyczajem.

— Alboż to droga do Bałty! zapytał p. Kazimierz.

Uczulem, żem się złapał; ale nie tracąc fantazyi odrzekłem, że mam być w Kurdywanowicach dla zamówienia ryb na wigilią, a stamtąd wykręcę już do Bałty.

— Wstąpił do piekieł, po drodze mu było, odrzekł pan Kazimierz, na Kurdywanowice do Bałty, mówił kręcąc palcem. Nie wiele w tem coś prawdy mój mosanie, zresztą nie ciekawy jestem cudzych sekretów, dodał, i odszedł do koni, a pan Franciszek kiwał na mnie, a kiedym wszedł do sieni, wziął mnie na bok.

— Nie wchodzę, mówił, w powody, dla których taisz się, gdzie jedziesz. Z kierunku jednak drogi i ze zmieszania, jakieś okazał, kiedy cię brat mój wypytywał, widzę, że jedziesz do Kamieńca, a tam ma być na święta panna Anna, rozumiesz mię waćpan... mówił poufale.

A że cały dwór Horbaszycki wiedział, że pan Franciszek kocha się w córce pana regimentarza Stępkowskiego, z którym p. starosta był oziębłe dla różności zdań politycznych, (i miał racją, bo potem regimentarz bił się przeciwko nam w konfederacyi) i niechętnie patrzył na te zalecanki syna, to mi się żal okrutnie

zrobiło biedaka, kiedym widział, że radby mieć wiadomość jaką od swojej bogdanki, i już tylko co mi się nie wymkło przyrzeczenie, że dopełnię czego żąda, ale znowu myśl szczęśliwa przyszła mi do głowy.

— Odmówię, pomyślałem, a dla tego wywiem się o niej, i anonime go zawiadomię.

— Mości Dynowski, mówił p. Franciszek, wywiędz się, jak oni długo w Kamieńcu zabawią, i kiedy będą wracać do domu, to ja już znajdę sposobność widzenia się z panną Anną...

— Ależ ja do Kamieńca nie jadę, upewniam pana starościca; jakem *sodalis*, dodałem, a mogłem się kłać śmiało, bom nim jeszcze nie był natenczas.

— Ot bzdurstwa! zawołał pan Franciszek, daj mi pewną wiadomość, czy panna Anna zdrowa, czy będzie z rodzicami na święta w Kamieńcu, to ci dam mego białonogę. I wyciągnął rękę do mnie...

— Aż mi się w oczach ciemno zrobiło na te wyrazy, bo ów białonogi kasztan i mego sandziaka nieraz za sobą zostawiał. Ale trudno, nie dałem się przekupić i odrzekłem: że dla p. Franciszka wszystkobyem zrobił, co w mojej mocy, a za takiego konia jak białonoga, tobym i opończę zdjął z siebie; ale cóż robić?... Radaby dusza do nieba, ale ją grzechy nie puszczaają... z Bałty do Kamieńca daleko.

Pan Franciszek popatrzył na mnie zagniewany.

— Odmawiasz? zawołał. Nie będęż miał wiadomości od panny Anny przez waści?...

— Żądna mi łaska p. starościca, rzekłem, aż dusza skacze do białonogiego, ale cóż, kiedy ja do Kamieńca nie jadę.

— To jedźże, gdzie chcesz, choćby na złamanie szyi! wykrzyknął w gniewie, i wyszedł na podsień; a potem obadwa nie spojrzawszy nawet na mnie, wsiedli do sań i ruszyli ku Horbaszy.

Chwilęostałem patrząc za odjeżdżającymi i myślałem sobie:

— Otóż to dworska służba! Służ jednemu wiernie, dziesięciu się narazisz, tfu! niech to djabli porwą! zawołałem. Jak mi będą kwaśne miny stroić po powrocie, to rzucę wszystko do kata i zaciągnę się do jakiej najbliższej chorągwi.

I tak rozmyślając wszedłem do izby, kazałem sobie dać grzanego piwa, i dumałem o tym dniu niefortunnym, kiedy stąpienie konia na podsieniu zwróciło moją uwagę. Wyrzałem oknem, koło którego siedziałem. Jakiś jezdny mignął mi się tylko i wjechał do stajni. Nie wielem na to uważał, aż drzwi się otworzyły i wszedł Zawierucha; powstałem zdziwiony.

— A ty gdzie jedziesz? spytałem.

— Za wami, odrzekł kozak, kłaniając mi się.

— Za mną?... a to dla czego?...

Kozak nic nie odpowiedział, sięgnął do szarawarów, wyjął w chustkę obwinięty list i podał mi. Obejrzałem go, charakter był starosty i pieczęć jego. Pisał mi, że się namyślił co do mojej podróży, i że mam zaraz z Zawieruchą wracać.

Spytałem kozaka, czy nie wie, co za powód, że mi się pan wracać każe...

— Boh znaję! odrzekł ruszając ramionami i patrząc pożądliwie na kurzące się w półgarncówce piwo.

Wiedząc, że nic się od niego nie dowiem, dałem mu kwartę piwa, które duszkiem prawie wypił, a potem siadłem do sań, koło mnie Zawierucha, i wracaliśmy do Horbaszy.

Długom siedział zamyślony, słowa nie wyrzekłszy, aż Zawierucha znudzony widno milczeniem mojem:

— Szo wy taki zadumanyj panyczku?... zapytał mnie.

— Ot mój kochany, myślę o tem, jak to fortuna kołem się toczy. Byłem sobie spokojny w Horbaszy, jak u Boga za drzwiami, a tu naraz panna starościanka markotna na mnie; z pana Goliana, z którym tak dobrze żyłem, mam nieprzyjaciela, bośmy się porąbali; tu znowu lichu mi nadało napotkać obu starościców, i obydwu na mnie zagniewani. Oj! lepiej żydowi w grubie palić jak dworsko służyć, mój kochany, dodałem z żalem.

— A czohosz oni serdiat'sia na was? pytał Zawierucha.

— Wszyscy za jedno, odrzekłem; żem im powiedzieć nie chciał, gdzie jadę. A jak tu gadać, kiedy starosta powiedział: milczeć mosanie.

— Dobrzeście zrobiły! odrzekł kiwając głową Zawierucha. A potym panyczku, to wsio furda. Nasza panna choć starosty córka, taki białogłowa, dziś gniewna, jutro dobra, jak pogoda w jesień. Z panom Golianom jeszcze lipszyj mir bude, kiedyście się porubały. Pan Kazimierz to dusza, wy wiecie, lubi was, to długo sierdzić ne bude; a co panu Franciszkowi, na zgodę zawieźcie nowinę od panny z Lisianki.

— Ba! rzekłem, czegobym ja chciał, żebym miał co nowego o niej. Pan Franciszek mi swego białonóżkę za te nowiny dawał...

— No panyczku, to białonóżka wasz! bo ja wam coś powiem o niej.

— Zawierucho! ojcze! zawołałem chwytając za szyję kozaka. Wiecznie ci za to wdzięczny będę! ale gdzie się ty o niej dowiedział, gadaj...

— A! gdzie! odrzekł kozak; po dorodze stanąłem jadąc za wami, gdzie te dwie karczmy na rozdrożu; aż tu zajeżdża długimi saniami kwestarz. Poznał on widno po barwie, co ja kozak z Horbaszy, bo pytał zaraz, czy bat'ko doma, bo on jutro z opłatkami przyjedzie, a teraz jedzie z Lisianki i konie umęczył. Jak ja posłyszał, co win z Lisianki, tak ja dawaj go traktować, i w rozmowory: bo wiem, że pan Franciszek rad jak mu ztamtąd nowiny przywieźć. To mi win skazaw, szo panna Anna kazała mu starościankom pokłonić się i powiedzieć, że jutro jadą do Kamieńca na całe święta, i dopiero po Jordanie powrócą. Ot co wiem od monacha, i te nowiny wam podaruję panyczku. On jutro będzie dopiero w Horbaszy, a wy dziś, rozumiecie?...

Podziękowałem raz jeszcze Zawierusze; zapewniłem go, że jak dostanę białonóżkę, to mu się za udzieloną nowinę odwdzięczę, i już weselszy jechałem do domu.

Właśnie się obiad kończył, kiedym przybył, i zaraz szedłem do dworu. W przedpokoju zastałem pana Golliana, który jakby nic między nami nie zaszło, uściśnął mnie serdecznie, a kiedy ja zdziwioną zobіłem minę:

— Nie gniewaj się na mnie, szepnął mi, dowiesz się zaraz rozwiązania całej zagadki, i ścisnąwszy mi rękę wyszedł do sieni. A ja uradowany wielce tem jego przyjaznem obejściem, którego mi się nie spodziewałem, otwo-

rzyłem drzwi do sali, właśnie w chwili, kiedy podnieśli się wszyscy z miejsc swoich. Starosta spostrzegłszy mnie :

— Jak się masz panie Balcer, czyś zdrow ? zapytał.

— Zdrow do usług pańskich, odrzekłem rumieniając się z ukontentowania ; bo wiedziałem, że starosta zwykł był tylko poufałych swoich po imieniu nazywać.

— Jeś dla pana Dynowskiego ! zawołał na służbę, i stojąc koło stołu kończył rozpoczęty dyskurs z panem, podstolim Chełmskim. Tymczasem starościna z córkami szły do bawialnego pokoju, a najstarsza starościanka, przechodząc koło mnie, spytała, czy już z powrotem z Bałty ?... Odrzekłem, że się wrócił na rozkaz jej ojca...

— Krótka to podróż była, a jednak panu dobrze posłuży, rzekła z uśmiechem, i poszła za matką i siostrami.

Ta łaska starosty, ta niepamięć odmowy ze strony starościanki, tak mnie zdziwiły, że stałem chwilę jak odurzony, kiedy mnie ktoś za ramię pociągnął. Odwróciwszy się ujrzałem za sobą p. Kazimierza, który szepnął mi w ucho :

— Jak wyjdiesz od mego ojca, przyjdź do mnie, tam ci obiad podadzą. I wykrećwszy się na pięcie odszedł.

Popatrzyłem za nim wielce kontent, nabrałem fantazyi, bo któż ją kiedy utracił w pomyślności, i postępując do pana Franciszka :

— Stosownie do życzenia pańskiego, rzekłem półgłosem, przywożę nowiny z Lisianki.

— Waćpan ! zawołał zdziwiony.

— Ja, panie starościcu dobrodzieju, rzekłem patrząc mu w oczy. Czy pan zapomniał swego zlecenia ?...

— Nicem nie zapomniał, odrzekł ciągnąc mnie do okna, i błagam cię, gadaj co wiesz...

-- Panna Anna już zdrowa, mówiłem, jutro jadą do Kamięca, gdzie całe święta zabawią, i wrócą po Trzech Królach.

— A pewny że tego jesteś? zapytał skwapliwie.

— Jak tego, że żyję! odrzekłem. Wychodzi to z ust osoby, której sama panna Anna o tem mówiła. Jutro pan staroście będziesz miał potwierdzenie słów moich.

— Niechże ci Bóg płaci za tę wiadomość, zawołał uradowany młodzieniec, ściskając mnie za rękę.

— Więc się pan już nie gniewa na mnie? zapytałem, bom ja dopełnił, czegom nie obiecywał.

— Nie gniewam się! nie gniewam! mówił uśmiechając się, ale ci się wyprzedzić nie dam, bo dopełnię com obiecał. Niechże ci służy mój białonoga, mości Dynowski, przyjmij go dobrem sercem, bo to dar od przyjaciela, rzekł z rozczuleniem, i uściskawszy mi rękę odwrócił się do okna, pogrążony w zadumaniu. A ja patrzałem na tego pięknego młodzieńca, którego serce było skarbem nieocenionym, który jednym słowem umiał dar prosty zamienić w zadatek przyjaźni, której obaśmy sobie wiernie dochowali, ja pielęgnując go jak brata, kiedy dotknięty dżumą na Wołoszczyźnie chorował, on ratując mi życie pod Monasterzyskami.

Już pół wieku, mówił pan Dynowski, minęło od chwili zgonu jego, a nie ma dnia, żebym wnosząc modły za spokój duszy jego, nie wylał łzy żalu i wdzięczności. Bo nie tylko za życia był mi prawie bratem, ale i ten kawałek ziemi, który żywi starość moją, jemu zawdzięczyć winienem...

Umilkł rozrzewniony starzec, ocierał zwilżone łzą oczy, i przepraszał nas za to mimowolne rozrzewnienie,

którego panem nie był. A my szanując ten hołd oddany przyjaźni, w milczeniu patrzaliśmy na niego, i dziwił się, że pod tą szorstką na pozór powierzchownością tyle czucia się mieści.

Pan Dynowski jak każdy człowiek wrażliwy, nie długo się oddawał żalowi, z otartą łzą zniknął i smutek z twarzy; i podając nam ręce:

— Dziękuję wam panowie, mówił, żeście szanowali boleść moją. Cieszę się niewymownie, że z zajęciem słuchacie opowiadania mego, bo to mi robi nadzieję, że z śmiercią naszą nie zaginie pamięć usiłowań naszych, że może znajdą się między rówienikami waszymi tacy, co odgrzebią pamięć dziadów, nie zostawią ją obcym w poniewierkę, i oddadzą cześć zasłudze. Sam dziś czuję, że nie wszystko było w konfederacji barskiej mądrze obmyślane, że nie było jedności w działaniu. Niemniej ci, co przystąpienie do związku podpisali, robili co mogli, nieśli w ofierze wszystko, co człowieka wiąże do życia, żadną prywatą się nie uwodzili, przed każdą czynnością Matki Zbawiciela wzywali opieki. A takim ludziom dużo przebaczyć można, jeżeli błędzili. Nie godzi się sądzić ich na skalę zimnego obrachowania i obojętnie patrzeć na to, co obcy albo stronni o nich piszą: bo kto czuciem grzeszy, temu odpuszczenie. Dziś do was młodszych należy, oddać sprawiedliwość ich usiłowaniom, a kiedy zechcecie rozpatrzyć się w nich bliżej, w Bogu nadzieja, nie powstydzicie się ojców waszych... Ale gdzież materiały po temu?... Oto albo się kryją zapomniane po prywatnych domach, albo zaginęły rozprószone zawieją wojenną. Z podania więc tylko poznać możecie tych, co przodowali w konfederacji... Korzy-

stajcie tedy młodzi, póki żyją ostatni Barszczanie, mówił z zapalem, a błogosławieństwo tym, dodał żegnając nas, co się nie zaprą ojców swoich.

Uchyliliśmy głowy przed tym znakiem, patrzyliśmy zadziwieni na tego starca, pełnego zapału, tak dbałego o sławę pogrobową towarzyszy swojej młodości, i pojąc nie mogliśmy, jak pogodzić tak wzniosłe uczucie z lichem zatrudnieniem, jakiemu się oddawał. To też od tej chwili pan Dynowski nie był dla nas prostym handlarzem jagłami i słoniną: przybrał on w oczach naszych rozmiary jakiegoś bohatera legendy, i patrzyliśmy na niego z uczuciem uszanowania.

Nie uszło baczności starego bywalca wrażenie, jakie na nas zrobiły ostatnie słowa jego; przelotny uśmiech zadowolenia rozradował twarz jego, pokręcił wężem, popił węgryzyna, i patrząc na nas z powagą:

— Tak tedy, mówił, z p. Franciszkiem mir stanął, i kiedym patrzył na niego w zamyśleniu stojącego, nadszedł właśnie Zawierucha i szepnął mi, że mnie starosta potrzebuje. — Jak przed odjazdem poprzedzony przez kozaka szedłem do pokoju starosty. Tam znowu jak wtedy p. Kochański, tak teraz pan podstoli chełmski pisał za stołem, starosta zamyślony przechodził się po pokoju, a ksiądz Marek stał koło pieca, i w obu rękach coś w papier owiniętego trzymał.

Skloniłem się wchodząc, i zaraz starosta przystąpił do mnie.

— Gdzie waść masz list do księdza biskupa? zapytał.

Wyciągnąłem go z zanadru, starosta stojąc przedemną rozdarł kopertę, a potem rozwijając go przed oczyma memi, pokazał mi biały papier!...

Stałem jak osłupiały na ten widok, widziałem dowodnie, że mnie na dudka wystrychnięto; to też uczułem, jak krew gwałtownie uderzyła mi do głowy, i prawie nieprzytomny, postępując o krok do starosty:

— JWpanie, rzekłem przerywanym od wzruszenia głosem, nie godzi się drwić z równego sobie szlachcica, a tembardziej z takiego, któremu się protekcją swoją obiecało !...

— Brawo mości Dynowski !... zawołał pan podstoli, a starosta zamiast gniewać się, wziął mnie za rękę :

— Nie były to drwiny, rzekł z dobrocią, ale środek ostrożności. Posłuchaj cierpliwie: Chcąc wypróbować dyskrecyi twojej, nasadziłem na ciebie córkę z żądaniem kobiecem, Goliana, żeby cię upoił, mego syna Kazimierza dla stosunków przyjaznych z tobą. Nie uległeś tym trzem pokusom. Z doświadczenia teraz mam cię za człowieka, któremu zaufać można. I podał mi rękę, którą ja uradowany ucałowałem.

— Słuchaj mój przyjacielu, mówił po przestanku, ważne rzeczy gotują się w kraju. Tym co przy sterze, trzeba ludzi wypróbowanych. Ciebie od tej chwili do nich liczę, a że walka będzie wkrótce za wiarę i swobody, trzeba żebyś miał talizman, jak przystoi prawowiernemu katolikowi.

Odwrócił się do księdza Marka. Ten rozwinął papier, który w rękę trzymał, wyjął z niego obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej na blasze i podał mi do pocałowania. Potem zawiesił mi go na piersi, a przytrzymując lewą ręką, prawą wzniosł do góry, odmówił modlitwę i *benedicte* (błogosławieństwo).

Głębokie panowało milczenie w czasie modlitwy, bo ja zdziwiony słowa nie wyrzekłem. Pan podstoli powstał z krzesła, i oba ze starostą stali z pochylonemi głowami, kiedy ksiądz mnie błogosławił, a jak skończył, starosta rzekł mi poważnie:

— Na dziś dość dla młodej jak waści głowy. Teraz idź do pana Kazimierza i baw się wesoło.

Wyszedłem uradowany, urosłem jakoś we własnej mojej opinii. A kiedym chował pod kontusz obraz, przypomniałem sobie, że mam 50 czerwonych złotych, dane mi na drogę; szedłem więc do pana Zbrożka, żeby mu je zwrócić, ale jakież było zadziwienie moje, kiedy ten wysłuchawszy mnie:

— Jakto! zawołał, drugi raz waszmość chcesz zwracać? I przewróciwszy na stole papiery, wyjął kartkę, na której ręką starosty napisane było: »Jegomość pan Dynowski do rąk moich złożył dane mu na drogę 50 czerwonych złotych; zapisać je na moją expens.«

Tak tedy był to dar, o którym starosta nie chciał, żeby najbliżsi jemu wiedzieli. Ocenilem tę delikatność, wymówiłem się jak mogłem panu Zbrożkowi, i spieszyłem do pana Kazimierza.

Już w przedpokoju usłyszałem gwarną rozmowę, a kiedym drzwi otworzył, pan starosta Zezuliniecki dużym kielichem wniósł moje zdrowie. Dziękowałem za niepospolity honor, i uczułem, że od tej chwili jestem członkiem wielkiego stronnictwa, które potem urzędowym aktem w Barze uświęcone być miało.

Wesoło nam zeszedł wieczór, bo wszyscy biesiadnicy byli jak ja wtajemniczeni do zawiązać się mającej konfederacyi. Nie jeden toast na cześć przyszłych nadziei

spełniano, a kiedym wrócił do stancyi, dobrze podchmielony, miłe sny towarzyszyły mi do rana.

Od onej chwili zmieniło się wszystko dla mnie na dworze w Horbaszy. Z zaufaniem, jakie mi starosta okazywał, rosło i poważanie u dworskich. Częste zlecenia odbierałem i raz z panem Kazimierzem w towarzystwie pana Goliana jeździliśmy na granicę wołoską, gdzie czekał na nas Mirza, wysłany od Kierym-Gereja, hana tatarskiego, i Mohamet Aga od baszy Benderu. Po tej podróży widocznie było, że Tatary i Turcy mają nam iść w pomoc. Dziwiłem się trochę, jak my, co za wiarę mieć się mamy, staniemy obok wyznawców Mahometa. Ależ kiedy tak starszyzna uradziła, musi to być dobrze, pomyślałem, i wcale potem rad byłem widząc ich potykających się obok nas, szczególnie Tatarów Lipków, którzy choć w swego proroka wierzyli, dziwnie przywiązani byli do ziemi, na której od wieków zamieszkali, i wielu potem słusznych i poważnych między nimi poznałem obywateli.

W ciągłem tedy zatrudnieniu zesłała mi część zimy. Aż po połowie jakoś lutego, wracając z jednej takiej podróży do Horbaszy, nie pomału zdziwiony byłem, ujrawszy ruch niezmierny we dworze, powytaczane powozy, służbę w różnej barwie kręcącą się. A kiedym pytał o przyczynę tych przygotowań, powiedziano mi, że przybył JWny podkomorzy Rożański z całym dworem, i że jutro i on i pan starosta wyruszają gdzieś w podróż. Pospieszyłem zaraz do pana Kazimierza, gdiem się dowiedział, że ruszamy do Baru. W kilka zaś godzin po kolacyi, pan starosta Warecki zapowiedział nam, żebyśmy wszyscy o świcie gotowi byli, i to z bronią

w ręku, bo interes publiczny tego wymaga. Tak więc słowo konfederacyi urzędownie jeszcze wymówione nie było, chociaż poufali, do których ja się liczyłem, wiedzieli o co rzecz chodzi.

Dziesięć dni prawie nie byłem w domu, i nie mogłem wiedzieć jakie przez ten czas przygotowania porobiono. Nie małe też było zadziwienie moje, ujrawszy na drugi dzień, w jakiej kawalcacie jechać mamy. Na dziedzińcu mnóstwo koni osiodłanych wodzili kozaki; ciężkie powozy, szóstkami pouprzęgane, czekały na pannie. Od bramy zacząwszy przez wieś całą ciągnął się gęsty zastęp nadwornych chorągwi pana starosty i podkomorzego, cztery armaty ze wszelkim przyborem i puszkarczami prowadził Francuz, z zagranicy przybyły, w końcu mnóstwo wozów z prowiantem i czeladź obozowa czerniły się na polu.

Pierwszy raz w życiu widziałem te przygotowania wojenne. Przyznaję się też, że dziwnego jakiegoś uczucia doznałem. Była w tem i radość, i niby obawa. Pierwsze widno przeważało, bom jakoś z fantazyą wszedł do sali, gdzie z pięćdziesiąt szlachty było zebranych; wszyscy uzbrojeni, podzieleni na kupki, rozmawiali półgłosem i oczekiwali przybycia panów.

Niedługo ukazał się starosta z podkomorzym i kilkoma starszymi. Starosta jako towarzysz pancerny chorągwi królewskiej, miał na łosim kaftanie pancerz stalowy, w złoto oprawny, na wierzchu delią karmazynową, rysiami podbitą; w lewym reku trzymał kołpak soboli z białą kitą, w prawym buzdygan złotem nabijany.

Podkomorzego strój był daleko bogatszy, i on niósł buzdygan jak starosta. Pan Kazimierz w ulubionej be-

kieszy węgierskiej, inni w sukniach koloru województw i ziem.

Zatrzymali się chwilę, starosta z podkomorzym uchylili buzdygany, odpowiadając na powitanie nasze, a pierwszy nam oznajmił, że zwyczajem ojców każdą czynność od Boga poczynać trzeba, i dla tego wzywa nas na nabożeństwo. Krótka była msza czytana; przy ewangelii, za przykładem starosty i podkomorzego, dobyliśmy szabel do połowy, po mszy odebraliśmy błogosławieństwo kapłana, i wsiedliśmy na koni.

Piękny to był i budujący widok tego pochodu naszego. Przodem jechał starosta z p. podkomorzym, przed nimi sześciu trębaczy, między obu panami ksiądz Marek, z krucyfiksem w rękę, potem tłumnie do stu szlachty na dzielnych koniach, na każdym prawie rzędzik srebrny albo pozłocisty, wszyscy w szubach, deliach lub lamparcich skórach. Za nimi głucho dudniąc toczyły się armaty; potem szły chorągwie kozackie, tatarskie, ussarskie i węgierskie, z rozwiniętymi chorągwiami, dalej luzaki z końmi podwodnemi i tabor obozowy.

Kiedyśmy ruszyli z miejsca, trębacze zagrali pobudkę a jak ucichli, całe wojsko zdejmując czapki zaśpiewało pieśń, umyślnie na ten cel ułożoną, która się poczynała temi słowy:

Morze się burzy, ziemia się wali,  
Miesza się niebo, powietrze.  
Niech się świat cały na nas obali,  
Wzruszy nas, ale nie zetrze.

W pośród tych ruin podniosiem głowy,  
Z których i włos nam nie spadnie,  
Bo wszystkich przygód naszych osnowy  
Są w ręce, która wszem władnie.

Z wielką skruchą i pobożnością śpiewało wojsko, i nie było jednego pomiędzy nami, któremuby to pokorne oddanie się woli niebios przez tyle zbrojnego ludu nie wycisnęło łez z oczu; to też kiedy się śpiew skończył, wszyscy w milczeniu jechali, i słyhać jeszcze było szmer odmawianej modlitwy.

Wolnośmy się posuwali, bo w każdej prawie wsi, przez którąśmy przechodzili, zajeżdżała nam drogę szlachta, która się łączyła z nami, a przy każdym takim spotkaniu bez oracyi ze strony nowoprzybyłych nie obeszło się.

Trzeciego dopiero dnia około południa, wyszedłszy na wzgórze, ujrzeliśmy wieże kościołów w Barze. Nie długo potem słyhać było bicie we wszystkie dzwony, co oznajmiło widno będącym w mieście o naszym zbliżeniu się, bo zaraz ukazali się najprzód księża z chorągwiami, a za nimi mnóstwo szlachty i pospolitego ludu wysypało się z miasta, i szli na nasze spotkanie.

Na ten widok zsiadliśmy z koni, i wśród śpiewów pobożnych weszliśmy do Baru.

Dniem wprzód przybyły tu już panie; to też kiedyśmy stanęli w klasztorze OO. Franciszkanów, gdzie podkomorzy ze starostą rozlokowali się, zastaliśmy za ich staraniem suty obiad w refektarzu, który choć duży, ledwie nas mógł pomieścić. A kiedy już było ku koń-

cowi obiadu, wnieśli hajduki na dwóch dużych blatach potrawę jakąś serwetami okrytą, i podali jeden półmisek starości, drugi podkomorzemu; a ci zaledwie ściągnęli przykrycie :

— Co to jest? zawołali razem.

Spojrzelismy wszyscy ciekawie, i ujrzelismy miasto potrawy, ułożone na półmiskach piramidy z kul. A w tej chwili starościna pocałowała w rękę starostę :

— Drogi mój mężu, rzekła, i wy szanowni panowie! Zdawało wam się zbytecznym, powierzać kobietom cel waszej tu podróży. Ale serca nasze przeczuły niebezpieczeństwa, na jakie drogie nam osoby narażone być mają. Dla tego to nocami lałyśmy kule, i teraz wam je jako najśodszy przysmak ofiarujemy. Przyjmijcie go dobrem sercem, niech każda z tych kul będzie goryczą tylko dla tych, co zechcą zagrozić życiu waszemu.

To rzekłszy, dała garść kul mężowi. Potem wszyscy ruszyliśmy z miejsc naszych, i każdy odebrawszy podobny upominek, zachował go jak skarb jaki, a echa klasztorne długo powtarzały wiwaty, na cześć starościny i kobiet polskich wnoszone.

Przez kilka dni lokowaliśmy się w mieście, gāzie ciasnota była niezmierna, bo codzień po jakie sto szlachty i więcej przybywało, a w dniu 29. lutego w kościele OO. Franciszkanów, po nabożeństwie i odśpiewaniu *Veni creator* (przyjdź duchu), spisany został akt konfederacyi, której marszałkiem jednomyślnie obwołany JWny Michał Korwin Krasieński, podkomorzy Rożański, starosta Opinogorski. Potem sute przyjęcie u nowego marszałka zakończyło ten dzień, uświęcony aktem politycznym. Później zaś nieco, bo dopiero 4. marca, na św. Kazi-

mierza, na szerokich polach koło miasta wystąpiło wojsko całe, przybyłe milicje różnych panów, wojska komputowego niektóre chorągwie. I tam w polu zaprzy siężony został związek wojskowy, którego znowu marszałkiem czyli regimentarzem generalnym bez żadnego oporu, owszem wśród radośnych okrzyków, JWny Józef Pułaski, starosta Warecki, pisarz nadworny koronny, okrzyknięty został. Potem wybrano konsyliarzy.

Łącznie z tymi obaj marszałkowie zajęli się urzędzeniami i zbieraniem wojska, kreowano wielkie braterstwo pod znakiem krzyża świętego, nominowano oficerów i wtedy to p. Franciszek został rotmistrzem w milicyi ziemi halickiej, której marszałkiem był JWny Maryan Potocki, a mnie chorągwo się dostało.

Nie będę się nad tem rozwodził, jak się z początku zbierali konfederaci. Nadmienię tylko, że zaraz w pierwszych dniach złączyły się z nimi milicje JWgo podczaszego litewskiego, księcia wojewody Braclawskiego, z Pobereża i Śmilańszczyzny, pod wodzą dzielnego pułkownika, JWgo Goślawskiego, potem nadworni kozacy pana starosty Śniatyńskiego, Węgry komputowi pod wodzą niejakiego Uniejowca, sześć chorągwi z pod dowództwa regimentarza Dzieduszyckiego, i pułk królowej Jadwigi.

Pan marszałek związkowy przyciągnął także do siebie garnizon w Berszadzie i Niemirowie. Kilka tysięcy Tatarów było już przy nas, a więcej daleko spodziewano się. Turcy w znacznej sile zbliżali się do granicy, nakoniec spodziewano się przybycia księcia wojewody wileńskiego, pana kanclerza Zamojskiego

i królewicza, księcia kurlandzkiego ze znacznymi posiłkami\*).

Zaraz na początku mieliśmy kilka rozpraw z nieprzyjacielem. Już w pierwszej połowie kwietnia nie było dla mnie nowością ani świstanie kul, ani cięcie pałasza. Były to małe wprawdzie, ale częste utarczki. Chorągiew nasza za staraniem pana Franciszka była jedna z najlepiej prezentujących się. Prosił on ojca o wydzielenie mu znacznego funduszu na rachunek schedy jego, i używał go na kupno koni i zbrojów żołnierzy swoich, a przeczuwał widno bliski zgon swój, bo nie raz mawiał, że chce, żeby chorągiew halicka była sukcesorką jego.

Dziwnego to był usposobienia młodzieniec. Nie miał on szalonej odwagi brata swego, i kiedy tamten szedł do boju z uśmiechem na twarzy, pan Franciszek, chociaż zawsze na przedzie, zdało się, że robi powinność swoją z uczuciem żalu tej krwi niewinnie przelanej. To też w gonitwie, kiedy się dało rozbić nieprzyjaciela, a wiara kłóła i rąbała, on stał na miejscu, z opuszczoną szablą i smutnem okiem poglądał na to dzieło zniszczenia. Ale kiedy chodziło nieść ratunek komu, rzucał się bez względu na własne bezpieczeństwo, a co wtedy dokazywał, na sobiem tego doświadczył.

Raz, pamiętam, pan starosta wysłał był naszą chorągiew na podjazd dla powzięcia języka jak to mówią. Wyszliśmy tedy w nocy a nadedniem byliśmy o jakie

---

\*) Wszystkie te szczegóły są prawdziwe, wyjęte z rękopismów Bibl. Ossolińskich, które przytacza Szczęsny Morawski, w swoim dziele: *Materyały do konfederacyi barskiej*.

parę mil od obozu, i zbliżaliśmy się do Monasterzysk. Mnie w kilka koni wysłał przodem pan Franciszek, a sam o parę set kroków za mną maszerował z całą chorągwią. Wjechałem w małe krzaki i, Bogiem a prawdą, prześlepiłem zasadzkę tam będącą. Naraz huknęło kilka wystrzałów, jeden szeregowy zwinął się z konia, obejrzą się z tyłu, piechota zastąpiła mi drogę, a z boków pędzi na mnie konnica...

Jużeśmy się mieli za straconych, to też krzyknąłem na moich, żeby się bronili do upadłego, i dalej się rąbać, i kiedy już było bardzo ciasno, słyszę wołanie:

— Naprzód za mną Haliczanie! i poznaję głos pana Franciszka.

W tej chwili pada jeden z najbardziej nacierających na mnie, a od cięcia drugiego zastawia mnie szablą mego rotmistrza.

— Śmiało naprzód! krzyknął on na mnie. Pocisnąłem konia, towarzysze nadbiegli, i wyszliśmy z tej biedy. Wtedy to wobec całej chorągwi przysiągłem mu wieczną przyjaźń a kiedym mu dzięki składał:

— Oddany to chleb przyjacielu, odrzekł, i uściskawszy mi rękę, odjechał smutny na czele chorągwi.

Prorocze to słowa jego były, bo niedługo potem, kiedy cofając się na Wołoszczyznę, przechodziliśmy bezludne obszary tej ziemi, pan Franciszek, który jechał przodem, raptem jak piorunem rażony spadł z konia. Poskoczyliśmy do niego, a kiedy szukając przyczyny zemdlenia rozebrano go, złowrogie słowo: dżuma, wymówione zostało, i najodważniejsi usunęli się od chorego.

W tym ciężkim kłopotcie przeniesiono go do nędznej wołoskiej wioski, gdzie ja i dwóch sług pozostało

przy nim, a pan starosta oplakawszy chorego syna, ruszył z resztą ku Jassom.

Długo pasował on się ze śmiercią. W końcu młodość, może i starania moje przemogły złe, i w miesiąc potem zdrów zupełnie złączył się z ojcem. Tak mi Bóg dopomógł odwdziaczyć mu usługę mi oddaną, a pan starosta jako nagrodę zasług moich, na prośbę pana Franciszka, dał mi dożywociem wioskę z klucza Hołobyczowskiego, które to obdarowanie po skończonej konfederacyi wniosłem do akt grodzkich w Kamieńcu, i do dziś dnia na tym kawałku ziemi siedzę, a wolny od trosk i niedostatku, modlę się za dusze moich dobrodziejów.

Znowu przestał stary konfederat, chwilkę siedział zamysłony; widno, że każde przypomnienie przyjaznych jego stosunków z Franciszkiem Pułaskim, budziło w nim smutne jakieś uczucie. Jak wprzód, tak i teraz nie przerywaliśmy zadumania, aż po chwili:

— Ha! różnie bywało, zawołał, jak zwykle na wojnie. Nie raz człek był pod stołem, lecz częściej na stole, i biedy się doznało, i głodu przymarło: ale za to dzień zwycięstwa wynagrodził wszystko.

— Pamiętam jak dziś 4. czerwea,\*) wielkie było spotkanie pod Barem, gdzie obaj marszałkowie dowodzili. Od świtu do nocy bój zacięty trwał, aż ku wieczorowi nieprzyjaciel cofać się począł, stracił bowiem do 5000 w zabitych i rannych, 2000 przeszło niewolnika, 10 armat z jaszczykami, bagaże głównie dowodzą-

---

\*) Wszystkie daty i miejsca są czysto historyczne po największej części z rękopismów Bibl. Ossol. czerpane.

cego generała Kreczetnikowa, w końcu kasę, gdzie się znalazło 50 000 czerwonych złotych, które do Kijowa przewożono. Były to tedy świetne zdobycze, ale drogo okupione, bo i w naszych szeregach w zabitych i rannych do 3000 ubyło. Między rannymi był pan Kazimierz; panu Franciszkowi kula konia ubiła, w chorągwi zaś naszej dziesięciu szeregowych zginęło, 7 rannych zawieźliśmy do Baru, gdzie solenne nabożeństwo i *Te Deum* śpiewano na podziękowanie za zwycięstwo.

Po tej wiktorii (zwycięstwie) duch inny wstąpił w całe wojsko, nie było już takiego, coby prochu nie wahał, nie raz na cztery razy liczniejszego nieprzyjaciela nacierano, i często ze skutkiem, bo jak zwykł był mawiać pan starosta Warecki: *Audaces fortuna juvat*. (Śmiałym sprzyja szczęście). A że wojsko nasze najwięcej z konnicy się składało, tośmy się przekonali, że święte to przysłowie było, bo na 10 razy, śmiałe przypuszczenie ataku dziewięć razy się uda, choćby numeryczna siła większa była na przeciwnej stronie. Takie to wrażenie robi hazard i determinacya. Ale nie zawsze św. Jana, jak mówi proste przysłowie, a jakieśmy tego doświadczyli wkrótce.

Nasi się coraz posuwali w głąb kraju, i już w pierwszych dniach czerwca docierali do Beresteczka; koło Ostrogu za Kuniowem zachwyliła milicya starosty Śniatyńskiego 45 ludzi nieprzyjaciela \*), a wkrótce potem szpieg doniósł marszałkom, że przy oddziale, którym dowodził generał Apraxyn, idzie kasa całej armii nieprzy-

---

\*) Wszystkie miejsca, w których rozprawy były są historyczne.

jacielskiej, i to przy tylnej straży, na którą z nienacka natrzeć można, obszedłszy główny oddział manowcami.

Wysłuchawszy tedy tego szpiega, ułożyli panowie między sobą, że sam pan starosta Warecki pójdzie z tą wyprawą, i to z nielicznym ale dobranym ludem. Jakoż wziął on naszą chorągiew i drugą pana Chlebowskiego, który dowodził milicyi JWgo wojewody Poznańskiego. Pan starosta był to człowiek bardzo ostrożny i przeznorny; to też owemu żydowi, który nas miał prowadzić, kazał wsiąść na koń i przodem jechać, a przy nim tuż na tegim koniu był Zawierucha, który już miał rozkaz co ma zrobić, gdyby nas żyd zdradzał. Szliśmy ostrożnie, przodem szpica z ludzi doświadczonych złożona, przy niej żyd nasz z Zawieruchą, potem chorągiew pana Chlebowskiego w ordynku, za nią nasza. A pan starosta od jednej do drugiej przejeżdżał się, rozpatrując na wszystkie strony, a miał i lorynetę, przez którą daleko widno było co się dzieje. Tak tedy uformowani dochodziliśmy do Ulanowa. Szpica wyszła na wzgórze, zatrzymała się na chwilę, i zaraz jeden towarzysz co koń wyskoczy przypadł do nas i oznajmił staroście, że na prawo od wsi widno oddział piechoty, maszerującej w tumanie kurzawy.

— A po czemże waść poznał, że to piechota, kiedy jak mówisz, kurz ją zakrywa? zapytał starosta.

— Bo kurz się nie wysoko wznosi JWny panie, odrzekł zapytany, nie końskie to więc kopyta podnoszą go.

— Brawo! zawołał starosta, przytomny waść jesteś mosanie Żdzarski, za powrotem z tej wyprawy nie minie waści nagroda.

Szlachcic uradowany ukłonił się staroście, a ten ruszył wraz z nim ku szpiccy, kazał jej zejść ze wzgórza, a sam pieszo i długo przez lorynetę patrzył na wszystkie strony. Po chwili wrócił do nas ze wszystkimi, co byli na wzgórzu, a kiedy stanął przed frontem:

— Mości rotmistrz! zawołał na pana Chlebowskiego. Słuchaj waszmość pilnie ordynansu mojego. Tam na prawo wyszedł już ze wsi oddział piechoty, z lewej zaś strony dąży ku niej konnica, zapewne z kasą, bo rozpoznać można jaszczyki w trzy konie, a dział nie widno. Ruszajże waszmość klusem do wsi i stań w ordynku w ulicy, którą wchodzić mają. Skoro wytchnie czoło kolumny, uderzaj śmiało, ja tymczasem z chorągwią halicką obejdę na lewo i wpadnę na nich z tyłu. Jeszcze masz czas, jak miarkuję po odległości, stanąć przed nimi we wsi.

Po tym rozkazie ruszyła chorągiew pana Chlebowskiego, a pan starosta zawołał żyda i wypytywał go czy łąki, przez które iść mieliśmy, nie grząskie i czy zawady jakiej nie ma na nich...

— Jest rów jaśnie panie, ale na nim mostek stawiają przed sianokosami. Ja pojedę zobaczyć, czy go nie zdjeli.

I zaledwie to wyrzekł, zwrócił szkapę w kierunku łąki, i tłukł ją piętami, żeby pospieszyć.

— Zawierucha, jedź za nim, rzekł starosta.

— Na co on mi potrzebny? wołał żyd, co to ja oczów nie mam, żebym mostu nie widział?... niech jaśnie pan wrócić mu się każe...

— Ruszaj gałganie! krzyknął starosta, a Zawierucha skropił nahajką żydowską szkapę, i popędzili czwałem, a my klusem dążyli za nimi.

Wyszedłszy na wzgórze, co górowało nad łąkami, widzieliśmy jak stali nad rowem. Żyd się często za się na las oglądał, potem coś ręką wskazywał Zawierusze na prawo, a kiedy ten zasłoniwszy ręką oczy od słońca, przypatrywał się wskazanemu przedmiotowi, żyd zwolna konia zwrócił, potem pokręcił go za ucho, a ta leniwa na pozór szkapa pomknęła z miejsca jak szalona. Na tętent kopyt odwrócił się Zawierucha, wyrwał pistolet z za pasa, palnął za żydem, a koń w pędzie kozła przewrócił.

Wydobywał się żydzisko z pod niego, ale Zawierucha już był tuż, mignął tylko szeroki kindżał kozaka, i żyd bez duszy leżał obok konia.

— Zdrada panowie! zawołał starosta. Za broń i stać w miejscu. I zaraz odwrócił się do mnie:

— Mości Dynowski, rzekł, weź waśc z sobą czterech szeregowych i spiesz do pana Chlebowskiego, powiedz mu, co się tu święci; niech się ma na baczności.

Jeszczem z miejsca nie ruszył, kiedy huk wystrzałów i gwar we wsi przekonał nas, że pan Chlekowski już naciera. Spieszyłem więc do niego, i nie doszedłem do wsi, kiedy krzyki przeraźliwe wypadającego z lasu kozactwa rozległy się za mną...

Chwilę się zatrzymałem, widziałem, jak chmura tego pędziła na naszą chorągiew, jak pan Franciszek sprawiał ją, a starosta na siwo-jabłkowatym ogierze przejeżdżał się przed szeregi, za nim dziesięciu dobranych kozaków, którzy go nigdy nie odstępowali, a którym przewodził Zawierucha.

Przedewszystkiem trzeba było spełnić dany mi rozkaz. To też pędem wpadłem do wsi; ale w niej już

nie było ani pana Chlebowskiego, ani chorągwi. Rozbił on widno oddział, któremu dowodził sam Apraxyn (poznałem to po trupach co leżały po ulicach), i popędził za nieprzyjacielem. Zastanowiłem się rozmyślając, jakby tu zawiadomić pana Chlebowskiego, a samemu wrócić co prędzej do swoich, kiedy z po za karczmy wysunął się jakiś szeregowy na koniu, obładowanym zdobyczą. Widno że kiedy chorągiew poszła w pogoń, on się został i obdzierał zabitych. Złajawszy go tedy porządnie, kazałem spieszyć do pana Chlebowskiego z uwiadomieniem o niebezpieczeństwie. Żeby się zaś zapewnić, że spełni moje zlecenie, zabrałem mu zdobycz, i obiecałem oddać, skoro się sprawi dobrze. Z kwaśną miną wypełnił mój rozkaz, a ja już wolny, co tchu dążyłem ku chorągwi.

Wyjechawszy ze wsi, ujrzałem wśród kurzawy migające szable i kopje, a gwar bitwy i wystrzały dochodziły do uszu moich. Nasi porozrywani na kupki, otoczeni przez kilka razy liczniejszego nieprzyjaciela, bili się desperacko. Dążyłem tedy ku nim, i upatrywałem kto najbardziej zagrożony i komuby nieść pomoc, i tak dojechałem do krzaków, za którymi stały luzaki z końmi podwodnemi. Było tam parę wierzchowców starosty, z których jednego trzymał kozaczek, młody chłopczyna. Dziwnie on pięknie grał na teorbanie i tańczył, to też go wojsko całe prawie znało, bo nieraz w obozie rozweselał ich śpiewem swoim, a dla instrumentu na którym przygrywał, Bandurką go nazywali. Ów tedy kozaczek, ujrzawszy mnie dążącego, poskoczył co tchu i wrzeszczał na całe gardło:

-- Pane choraży! pane choraży! bałka naszego ubija!... i wskazywał ręką za krzaki...

Dreszcz mnie przejął na te słowa.

— Za mną chłopy! krzyknąłem na szeregowych.

I jak szaleni pędziliśmy przez krzaki, a Bandurka myśląc, że i do niego ta komenda stosuje się, spieszył za nami. Za krzakami była dolinka, na niej toczył się bój najsroższy. Dońce cisnęli się do koła, przeraźliwe ich okrzyki rozlegały się po polu, a wśród tego tłumy bujała biała kita przy sobolim kołpaku starosty, a w koło niej wiatr unosił żółte jełomy dziesięciu kozaków i Zawieruchy.

Na ten widok puściłem szablę na temblak, wyrwałem pistolety, i pocisnąwszy mego białonogę, z okrzykiem: wiara i wolność! uderzyłem w tę kupę... Dwóch zaraz padło od moich wystrzałów, z pięciu powaliły kule szeregowych, i cała czereda rozskoczyła się na to niespodziane natarcie, a ja ujrzałem starostę w chwili, kiedy siwy ogier jego przysiadł na zadzie, potem zachwiał się i upadł z jeźdźcem na polu.

Na ten widok Dońce wykrzyknęli:

— Urrah! pan Pułaski popał!

I natarli na powalonego. Ale już na ziemi przed panem stał Zawierucha, jednym cięciem szabli powalił on konia temu, co godził najpierwszy. Jeździec z rozpędu przez łeb koniowi padł prawie w objęcia Zawieruchy, ten go ścisnął, Doniec tylko raz krzyknął i skończył w żyłastych rękach Ukraińca.

Na ten widok odskoczyli Dońce, a potem jak szarańcza rozbiegli się po polu, bo pan Franciszek w kilkanaście koni spieszył na pomoc ojcu. Bój ustał na

chwile, a ja zwróciłem się do starosty, który z ciężkością wydobywał się z pod gniotącego go ciężaru. Dwóch kozaków zabitych leżało obok niego, z jednego z nich, pchniętego w piersi, obficie krew uchodziła. Starosta wsparł się w niej widno lewą ręką, bo kiedy się podniósł, dłoń cała krwią ściekała. Ale nie było czasu do stracenia, bo kozactwo zbierało się na nowo. To też starosta nie zważając na to:

--- Konia, Dynowski! na miłego Boga!... zawołał na mnie.

Zeskoczyłem z mego białonogi, chcąc mu go podać. Aliści jakby z pod ziemi ukazał się Bandurka i podał staroście ową klacz wilczatą, którą pan Kazimierz z Bałty przyprowadził, a którą w darze staroście przysłał był chan tatarski.

Ucieszył się starosta tą przytomnością Bandurki:

— Aha!... zawołał, i tyś tu chłopcze? No, twój los zapewniony, dodał i wyciągnął rękę do szyi klaczy, chcąc ją pogłaskać nim siądzie. Ale ta przestraszywszy się skrwawionej ręki, rzuciła się w bok, chrapiąc i wspinając się jak świeca. Napróżnośmy ją uspokoić chcieli, rwała się, cofała i drżała jak liść, patrząc na przedmiot przestachu. Aż kiedy starosta otarł rękę, dała wsiąść na siebie, i już do końca rozprawy nosiła go... A koniec był pomysłniejszy, niżesmy się spodziewać mogli, bo nadciągnął nareszcie pan Chlebowski.

Kozactwo na ten widok cofnęło się do lasu, a pan Chlebowski, jakeśmy się dowiedzieli, nie tylko że rozbił oddział Apraxina, ale i kilkunastu niewolników przyprowadził, między nimi niejakiego Rassumowskiego, oficera od dragonii, a co najlepsza, kasę, w której znalazło się

13.000 czerwonych złotych\*). Dobrze to mówi przysłowie, że lada co nieraz stanowi o losie bitew, a ten znowu o losie narodów.

I nam też z początku dobrze szło wszystko; ale na nieszczęście nie było jedności ani w działaniu, ani dobrej harmonii między dowódcami. Konfederacye powstawały cząstkowo, to też i cząstkowo przytłumiane były. Rządy i w kraju i nad wojskiem z prawa należały do pana podkomorzego Rożańskiego i pana starosty Wareckiego, jako wybranych marszałków. Ale magnatom nie bardzo do smaku było to przewodnictwo drobnego szlachcica, jakim był pan Pułaski, zrobili też ligę pomiędzy sobą, żeby mu władzę obciąć. A Bóg świadkiem że niesłusznie, bo nie było w całej konfederacyi człowieka z większą gotowością poświęcenia się dla kraju i swobód jego, jak nim był pan starosta. U niego hasło wiary i wolności nie było środkiem poruszenia innych a wyniesienia siebie, owszem zelant religijny, cały oddany sprawie publicznej, nie wiem czy kiedy pomyślał nawet co z nim, z jego mieniem lub rodziną się stanie. Surowość jego, ten przymiot konieczny dla wodza, nazywali oni chęcią poniżenia stanu magnackiego, nie jeden pomysł zuchwały celem nabycia sławy, kosztem krwi bratniej. Były to potwarze i wymysły; w rzeczy zaś chodziło im o to, żeby obok Krasieńskiego postawić jakie wielkie imię, i dla tego forytowali na miejsce starosty, pana podczaszego litewskiego. Bo u nas od najdawniejszych czasów możne rodziny dążyły do odróżnienia się

---

\*) Wszystkie te szczegóły są prawdziwe, w rękopiśmie ówczesnym, w Bibl. Ossol. znajdujące się.

od reszty szlachty. Za Piastów jeszcze, w jakiejś tam wojnie nie pomnę, nie poszła drobna szlachta w pomoc nienawistnym im baronom, to też wyginęli wszyscy.

Pomimo tej oznaki niechęci nie zmańdrzały następne pokolenia, bo znowu za Jagiellonów otwarcie dążyli panowie do utworzenia osobnego stanu i piastowania dziedzicznego godności senatorskich. Ów sławny Jan Tarnowski, wychowany za granicą, przybywszy do kraju z tytułem granda hiszpańskiego, magnata węgierskiego i hrabi świętego państwa rzymskiego, był głową stronnictwa tego. Głośno objawiał zamiary swoje; to też zgromadzona szlachta pode Lwowem omal że go nie rozsiekała, i tylko ocalenie winien był ukryciu się w klasztorze OO. Franciszkanów. Tak też było i później za królów elekcyjnych, kiedy Zebrzydowscy wichrzyli. Tak było na nieszczęście i w konfederacji barskiej.

Długo by było opowiadać, przez jakie koleje przechodziliśmy, nimeśmy weszli w granice Wołoszczyzny. Miesiąc i więcej przesiedziałem przy chorym panu Franciszku a kiedy wydobrzeał, dążyliśmy do Jass, gdzie się już pan starosta i jego stronnicy znajdowali. Uniwersały pana podkomorzego Rożańskiego i podczaszego litewskiego odejmowały mu wprawdzie władzę nad wojskiem. Czuli jednak ci panowie, że on był duszą w konfederacji, to też nastąpiło jakieś pojednanie między zwaśnionymi. Ale starosta do żywego dotknięty nieprzyjaznym ich procederem względem siebie, tak to silnie uczuł, że odtąd słabować począł\*). Powrót do zdrowia już opłakanego syna był pociechą dla strapionego ojca. Wszyscy

---

\*) Historyczne.

trzej starościce byli na ten czas w Jassach, i z troskliwością prawdziwie synowską osładzali ojcu cierpienia.

Zawsze wieczorami schodziliśmy się wszyscy u starosty, a on wtedy rozwijał nam plany swoje, wytykał błędy, jakich się strzedz mieliśmy, a mowę najczęściej zwracał do pana Kazimierza, jakby przeczuwał, że on po nim przodować będzie w konfederacyi. Nieraz z goryczą i dumą mówiąc o niewdzięczności kolegów swoich, za złe miał synom, że wydali manifest broniący sławy jego\*).

— Cóż to wy sobie myślicie, mówił, że to w mocy tych panów odjąć mi to, w czym Bóg krajowi zasłużyć się pozwolił?... Ich że to pomysł konfederacya?... Im się to i nie śniło nawet, kiedy ja za nieboszczyka jeszcze króla przygotowywałem umysły braci szlachty i gromadziłem środki. Zaraz po wstąpieniu na tron Stanisława, kiedyśmy do domów wrócili z pola elekcyi, któż to obu Krasińskich, i biskupa i podkomorzego nakłonił do propagowania konfederacyi?... kto zawiązał stosunki i w Stambule i z chanem tatarskim... jeżeli nie ja!... A potem, czyżem się napraszał, żeby mnie marszałkiem związkowym wybrano?... Nie chciałem tej władzy, jaką mi dał naród, złożyć w ręce wojewody wileńskiego?... Mam list jego, gdzie mnie zaklina na Boga, żebym nie opuszczał stopnia, na jakim mnie zaufanie współbraci postawiło... a czemu zgrzeszyłem na tym urzędzie moim?... Możem oszczędzać krwi własnej, albo dziełek moich?... Byłoż jedno spotkanie od początku konfederacyi, w któremby nie brał udziału... O! wiem

---

\*) Historyczne.

ja, czego mi darować nie mogą. Oto żem karciał nieraz tych młodych paniczów, co to po swojej głowie robić chcieli, bez względu na moje rozkazy. Tego się nie wypieram wcale, bo mam to przekonanie żem postępował, jak mi obowiązek nakazywał...

Tu przestał starosta, chodził zamyślony po pokoju, a po chwili:

— O wszystkich innych zdania, mówił, nie dbam wcale. — Ależ Krasińscy! Krasińscy!... zapomnieć tyloletnich stosunków przyjaźni, tych chwil poufnych, w których każdy z nas w sercu drugiego mógł czytać jak w księdze otwartej. Zapomnieć i celów jednych i braterstwa w boju... O! to boli moi panowie, to boli!... mówił z żalem i chodził pogrążony w zadumaniu.

— Ależ oni temu nie winni, mówił znowu, uwiedli ich, namówili do kroku, którego żalowali potem. Dzie sięć razy mi to powtarzał ustnie podkomorzy, a biskup na piśmie to wyraził. Do nich żalu nie mam i kocham ich jak tego warci. Co innego z panem podczaszym. Jemu się zdawało, że jak pan taki jak Potocki zechce zgody, to szlachcie będzie to sobie miał za szczęście... Mój Boże beczkę soli ze mną zjedli, a nie znali starego Pułaskiego! I choć podczaszy pierwszy krok zrobił, ja i słyszeć o tem nie chciałem, i gdyby nie pośrednictwo chana\*) i przekonanie, że dobro publiczne tego wymaga, nigdybym był na pojednanie z nim nie przystał. Podałem tedy dłoń do zgody i dotrzymam jej póki sprawy krajowe tego wymagać będą. Ale w sercu pozostał żal, który ze śmiercią chyba ustanie...

---

\*) Historyczne.

Każda taka rozmowa zły wpływ na zdrowie starosty wywierała. To też ile możliwości unikaliśmy wszelkiej wzmianki o tem, ale okoliczności zawsze ją nasuwały, i zdrowie się pogorszało.

Cała już konfederacya znajdowała się na on czas na Wołoszczyźnie. Co było przedniejszych konfederatów, wszyscy odwiedzali starostę. Wielu mu radziło, żeby wydał manifest przeciwko panu podczaszemu i odwołał się do braci szlachty, ale nie chciał tego zrobić.

— Niech kto chce, mawiał on, przodkuje konfederacyi, byle jedność była, to sprawa nasza nie upadnie.

A ta abnegacya ze strony starosty więcej mu sere jednała, niżby tego dokazały wszystkie manifesta.

Pobył nasz na Wołoszczyźnie nie był zbyt przyjemny. Wołosi nie bardzo nam sprzyjali, bieda się czuć dawała, bo niespodziane wyjście nasze za granicę zastało nas po największej części ogołoconych z funduszków. Ci co się trzymali pana starosty i z nim weszli na Wołoszczyznę, żyli na jego sumpcie, co dzień stoły dla nich zastawiane były. Ależ i jego kasa nie była to studnia, i tam się też przebierać począł.

Jednego wieczora byliśmy sami domowi. Starosta zabierał się do spoczynku, a Zawierucha rozbierał go, kiedy wszedł pan Zbrożek. Starosta wypytywał go o sprawy dzienne, o konie czy zdrowe, o służbę czy się spokojnie zachowuje? A pan Zbrożek zdając mu relacyą, narzekał na drożyznę, na expens wielki, i radził oszczędzać się.

— Co waszmości w głowie, odrzekł starosta, albożmy to marcepany zjadamy czy co? Żyjemy jak żołnierze. Ale żyć trzeba nie tylko nam, ale i przyjaciółom naszym.

Jeżeli uważasz, że jest czego nadto koło mnie, to wolno ci zmniejszyć, ale ujmować konieczny do życia kawałek chleba towarzyssom moich trudów, na to ja nie przystanę... Ale może już funduszków braknie?... spytał starosta.

— Jest ci tam jeszcze, JWny panie, mówił p. Zbrożek, ale na taki expens dłużej jak miesiąc nie pociągniem.

— O! to źle! to źle, mospanie, mówił patrząc w ziemię starosta, trzeba było zabrać całą kasę z Horbaszy... Ależ i to prawda, że mogła wpaść w ręce nieprzyjacielowi, a tam Schwarz jej pilnuje... No, nie ma rady, ozwał się po chwili przestanku, do domu dostać się niepodobna, a tu zgłodzić przyjaciół nie można. Mam srebra, klejnoty, pasy, trzeba je zastawić i czekać pomysłniejszej chwili. Jutro o tem pogadamy, mości łowczy, a teraz spokojnej nocy wam życzę.

I owinąwszy się w kołdrę, odwrócił się do ściany, a my wyszedłszy wypytywaliśmy się pana Zbrożka o radę, co tu dalej robić będzie.

Pan Zbrożek nam odrzekł, że starosta rachuje wiele na wierność Schwarza.

— Ale ja mu nie bardzo dowierzam, bo to łys, zyz, kuternoga; jeżeli się uda, to łaska pana Boga.

I w istocie ów Schwarz był i łysy i zyzowaty. Wuj jego, rodem z Prus, prowadził handel jakiś w Kamieńcu i miał stosunki z panem starostą, którego interesa załatwiał. Wsadził też na rachmistrza do starosty siostrzeńca swego, który wyuczył się u niego rachunkowości i rejestraturę prowadził. A kiedyśmy wyszli na konfederacyą, i kasa przy nim została.

Był to Prusak bardzo akuraty, ale chytry, przebiegły, słodziutko mówił, a nigdy o sobie nie zapomniał.

Pożyczał dworskim pieniędzy na zastawy i darł ich okrutnie na procentach, a wszystko to tak grzecznie, z taką uniżonością, że nikt się skarżyć o to nie chciał, ale go i nikt nie lubił. A że był mały, łysy, zyzowaty i kuso bardzo ubrany, to też go kozaki, a za nimi i dwór cały: *Ono dywo* nazywali.

Rozszedłszy się tedy po stancyach, nie jeden z nas rozmyślał, że może nadejść chwila, gdzie i kawałka chleba nie będzie, ażeby głód zaspokoić.

Na drugi dzień rano byliśmy u starosty. Kazał on zawołać Zawieruchę, żeby go ubierał. Ale napróżno szukali go wszędzie, nikt go znaleźć nie mógł. Aż wkrótce oznajmiono staroście, że i konia i Zawieruchy nie ma w stajni, wyprowadził go widno w nocy i ruszył na nim światami...

Nigdy nie zapomnę wrażenia, jakie na staroście zrobiła ta wiadomość: chwilę patrzył przed siebie jak odurzony, potem zawołał z żalem:

— Myślałem, że pan tylko umie zdradzać przyjaźń, a tu widzę i prosty to człowiek potrafi... On! co mi życie winien i co mi je uratował, któregom kochał jak syna! co był piastunem dziecka mego! opuścić mnie dla tego, że mogę być w niedostatku!... O ludzie! ludzie! Bóg was stworzył na obraz i podobieństwo swoje, a czyny wasze zawstydziłyby szatana!

— I głowę wsparłszy na rękach, długo w zamysleniu pogrążony siedział.

Tymczasem coraz gorsze wieści dochodziły nas zewsząd. Pan starosta Szczyżewski donosił ze Stambułu, że intrygi dworu petersburskiego wielkie postępy robią na dworze sultana i można się obawiać buntu janczarów,

zład i chan tatarski stygnąc począł w dobrych swoich chęciach. Wołochy nam coraz nieprzyjaźniejsi byli, z kraju dochodziły nas wieści, że wszędzie się zawiązują konfederacye, ale byt ich nie długo trwały. Wszystko to niepokoiło naczelników, to też wszyscy bez wyjątku schodzili się w mieszkaniu starosty i rady jego zasięgali, a on im zalecał wytrwałość i zgodę, i sam tego przykład dawał, przyjmując u siebie przeciwników swoich.

Nieprzyjazne usposobienie Wołochów nakazywało nam ostrożność i pilne baczenie na wszystko; to też szczególniej strzeżone było mieszkanie starosty. Był to stary monaster, gmach wielki, murem w około obwiedziony; w nim pryncypalne pokoje zajmował starosta, my zaś mieściliśmy się po celach, dawniej przez czerńców zamieszkałych. Monaster ów był na uboczu, tem bardziej mógł być na napad jaki wystawiony; to też co wieczór bramy starannie zamykane były, i straż jedna na bramie, gdzie była kordegarda, inne po rogach gmachu przechodziły się; na dole zaś był odwach, gdzie kilkunastu żołnierzy i jeden oficer wartę trzymali.

Noc była mroźna, zawieja na dworze okrutna. Starosta zdrowszy nieco, przyjmował w dniu tym dużo osób. Po kolacyi zasiadł w swoim pokoju koło komina, a pan Franciszek czytał na głos listy nadeszłe z Bakczyseraju; my zaś wszyscy w milczeniu słuchaliśmy nowin tam zamieszczonych, kiedy dzwon w bramie ozwał się raptownie, i oznajmił nam, że ktoś nowy przybywa. Pan Kazimierz wyszedł dać rozkaz żeby wybadano nowo przybyłego, a po chwili jeden ze straży

doniósł, że ile w nocy rozpoznać można, przybyły jest kozak dworski, zapewne z listem.

— Wpuścić go, odrzekł krótko pan Kazimierz a my niecierpliwie wyglądaliśmy nowin...

Niedługo jakiś ruch niezwykły w przedpokoju i szmer podziwienia zwrócił naszą uwagę... Potem drzwi się rozwarły, a w nich śniegiem osypany stanął Zawierucha...

Na ten widok zerwał się starosta z krzesła, a my wszyscy z miejsc naszych.

— Zawierucho! synu mój! zawołał, wyciągając ręce do kozaka, a ten upadł mu do nóg i płakał jak dziecko.

Podniósł go starosta.

— Gdzie ty się podziewał? pytał skwapliwie.

— Ja był w Horbaszy, odrzekł zapytany.

— W Horbaszy, a po co?...

— Po czerwienice dla was bat'ku, odrzekł spokojnie Zawierucha, a starosta chwilę patrzył na niego z widocznym rozrzewnieniem, a potem odwracając się do nas:

— A jam go posądzał, mówił z żalem, Boże odpuść mi! dodał i w piersi się uderzył.

Potem usiadł, a my zdziwieni i ciekawi, otoczyliśmy Zawieruchę, stojącego przy krześle starosty.

— No gadajże, pytał starosta, jak ty do domu dojechał, i jakieś dostał pieniędzy, nie mając pisma odemnie!

— Ot bat'ku, jechał ja nocami, lasami, i piątego jakoś dnia, ot tak wczorom był ja już w Horbaszy. Nichto mnie ne widił w seli, i żyunki nawet nie baczyw, tolko konia w sadzie uwiązał, i szedł do oficyny, tam gdzie kasa wasza. Uwidał ja czerez okno, szo toj Nemeč Schwarz wprzody pisaw i pisaw, a po tym zelaznu

skryniu toju co my ją do Dubna wozili, otworzył i czo-  
hoś tam szukał. Win tyłem do drzwi stojał, a ja po  
tycheńku otworzył je i wszedł do izby... Odwernot się  
Nemec, *Herr Jesus!* kryknął a ja mu rukuju pokazaw,  
szoby po tychońku gadał, a on zaraz do mnie w roz-  
howory, a zkąd ja? a hdzie wy? a po co ja przyjechał?  
Tak ja jemu rozkazuju, szo wy tu w Jassach, szo u was  
diennioch mało, a on się zadumał bardzo, potem Bohem  
świadczył się, jak diennioch dat' ne może, bo i sęła  
wasze i diengi wasze, wsie na skarb korola zabiorą.

— Szo wam korol pane Schwarz?... skazaw ja jemu,  
my w Horbaszy ne w Warszawi, a tu pan i korol nasz  
bat'ko starosta.. tak, dawajcie diengi, pane Schwarz.

— Klenu si' duszu szczo dat' ne mohu! mówił  
Schwarz i chadił po izbie, a ja mu rozkazuju, szo  
u was bieda skoro bude, szo i wy, i towarzysze propa-  
diot z gołodu, kohda on diengów nie da.

— Nie mogu! nie mogu! wołał toj czort, i chadił  
wsio i ruki łamał a potem odwernuł się, szoby skryniu  
zamknął, a ja podumał troche... ha! perechristił sia,  
kindżał wychwytił:

— Propadaj wraże! ja skryknął, a Schwarz upał na  
zemlu... i ne wstał.

— Zabieś go? zawołał zrywając się starosta, a my  
w zysey cofnęliśmy się zadziwieni i zgrozą przejęci;  
1) ozak zaś spojrział na nas, potem na starostę:

— Szosz buło diełat, bat'ku, odrzekł, Schwarz dien-  
gów dat nie chciał, u was ich nie było, to ja jeho  
ubył; w skryni wziął dziesiet sinych mieszków z czer-  
wieńcami, potem dwery zaper, mieszki w sakwy owinął,  
na koń wsiał, taj do was ruszył!...

Tu się pochylił, pocałował starostę w kolana i wyciągnawszy z za pasa klucz od kasy, położył go na stole przed starostą, który patrzył z podziwieniem na Zawieruchę, a potem odwracając się do nas:

— Co tu na to powiedzieć moi panowie?... zapytał: nad wszelkie względy przeważało w nim przywiązanie do mnie, i ja go mam potępiać? Ot lepiej każę odprawić nabożeństwo za duszę Schwarza, a z nim się nie rozstanę do śmierci.

Tak tedy poświęcenie Zawieruchy zapewniło nam utrzymanie przez czas pobytu naszego na Wołoszczyźnie, a dla panów zrozumiałem teraz będzie to, com o Zawierusze powiedział: że nie wiele dbaj o własne życie za nie ma cudze, kiedy chodzi o dopełnienie włożonego na niego obowiązku...

Tu pokręcił węża stary konfederat, nadstawił wypróżniony kieliszek:

— No wypyjmy zdrowie Zawieruchy, mówił, bo wart tego.

Podnieśliśmy nasze do góry.

— Niech żyje Zawierucha i jemu podobni! wykrzyknęliśmy i wypili do dna, a pan Dynowski patrząc na nas zdziwionych tym czynem Zawieruchy:

— Tacy to moi panowie, mówił on, byli słudzy dawniej, ale bo i panów takich jak nieboszczyk staro ta nie wiele napotkać można. Był on surowy, wymagający akuratności, ale litościwy, pamiętny o każdej potrzebie tych co w usługach jego byli, każdego na człowieka wykierował, i nie tylko zapewnił kawałek chleba, ale i o dzieciach jeszcze pamiętał; to też jak ojca kochali go wszyscy, i kiedy prosty człowiek jak Zawierucha,

zdolny był takiego poświęcenia, to łatwo pojmiecie panowie, na co my szlachta gotowiśmy byli narazić się dla niego.

Z boleścią też widzieliśmy, że coraz na zdrowiu upadał, i że starania i leki nie wiele mu ulgi przynosiły. Różnie ludzie o tej jego niemocy mówili, nie jedno posądzenie krążyło w kole przyjaciół starosty, ale ja com go na chwilę nie odstępował, zaręczyć mogę, że nikt z ludzi, zbrodnicze zamiary mających, nie miał do niego przystępu, a każde lekarstwo, których nie wiele używał, bez wiedzy jego przez próbę przechodziło.

Ależ się Bogu widno podobało powołać go do chwały swojej; bo już ku wiosnie gaśł widocznie jak lampa. Nigdy się on nie skarżył, przytomność go nie opuszczała, nigdy się nie położył, tylko w krzesle siedział, i jakby przeczuwał bliski koniec, nie chciał tracić chwil drogich, mówił ciągle o sprawach publicznych i rady synom dawał, z których wszysećśmy korzystali; bo co tylko było znamienitszych konfederatów, to wszystko cisnęło się koło umierającego.

Nareszcie pierwszych już dni marca spowiadał się i oleje św. przyjmował, potem dyktował testament w obecności wybranych świadków, gdzie wszystkich obdarzył; nareszcie pobłogosławił synów, zalecał im jedność, pomoc dla siostr i pamięć na przysięgę w Czerniakowie wykonaną\*), a potem i sam zmęczony i nie chcąc rozrzewniać synów, kazał im pójść na spoczynek, i pozostał tylko ze mną, kapelanem, który pacierze odmawiał, i Zawieruchą, który stał przy drzwiach i płakał jak dziecko.

---

\*) Historyczne.

Usiadłem koło krzesła jego, patrzałem na tę twarz wspaniałą, teraz już zmienioną. Wsparł on głowę o wysokie poręczce krzesła i usnął... a ja gorzkie łzy wylewając modliłem się za spokój duszy jego.

Raptem chwycił silnie za poręcz krzesła, i przez sen widno zawołał :

— Konia, Dynowski! na miłego Boga!

Zerwaliśmy się wszyscy, a starosta oczy otworzył, patrzył na nas swobodnie, potem ręką po czole pociągnął.

— Śniło mi się, że byłem w bitwie pod Ulanowem, że ty mi konia podajesz, że Zawierucha mnie broni, że dosiadłem Zezuli, i gonię nieprzyjaciela... a tu nie z tego, mówił, rozglądając się; ciasne ściany komnaty zamiast szerokiego pola, ja złamany chorobą zamiast pełnego siły wojownika... i śmierć na łożu boleści zamiast pola bitwy... O! nie takiego ja się zgonu spodziewałem! mówił wzdychając, ale kiedy się tak Bogu podobało, z pokorą przyjmuję wyroki jego.

Opuścił głowę na piersi, chwilę zamysłony siedział, a potem patrząc znowu na nas, dał znak ręką. Zbliżyliśmy się do niego.

— No, ostatni to sen mój, mówił, ostatnie wspomnienie żołnierza, chcę, żeby utkwilo w pamięci waszej... Ty przyjacielu, mówił do mnie, weź Zezulę, niech cię nosi śród bojów, a ile razy dosiedziesz jej, wspomnij o mnie. Tobie księżę, mój relikwiarz daję, módl się na nim za spokój duszy mojej... a tobie synu?... rzekł patrząc na Zawieruchę, cóż tobie? zapytał.

Chwilę myślał, potem odpiął bogatą szpinękę od koszuli.

— Tobie ta szpinka, rzekł, ty i ona nigdy mnie nie odstępowali, o! tobie nic nie zalecam, bo ty mnie nie zapomnisz!...

A kozak szlochając upadł na kolana przed starostą, i rękę jego ucałował.

Cała ta scena wyczerpała widno resztę sił jego. Zbliżał się koniec, sam to widno uczył, bo raptownie zawołał: świecy, świecy! i rękę wyciągnął; a kiedy mu ją podano, wyjął szkaplerz, i z uniesieniem religijnem patrząc na krzyż na nim wyszyty:

— Tobie Panie, mówił, polecam duszę moją i tę sprawę, której służyłem do śmierci.

Potem pochylił się, świeca z ręki wypadła, a on się wyciągnął... i skonał.

Co było żalu po jego śmierci, wypowiedzieć tego nie umiem; nawet oponenti jego przyznali, że on był duszą konfederacyi, ze czcią też i łzami, oddali mu ostatnią posługę, a ja całe przywiązanie jakie miałem dla nieboszczyka, przenieśliem na synów, to też przez ciąg konfederacyi nieodstępny im byłem.

Pamięć starosty stała się dla mnie aktem wiary, wszystko co mi go przypominało, skarbem nieocenionym; łatwo więc pojmiecie panowie, jakie staranie miałem o Zezuli, tej ostatniej pamiątce umierającego; żałowałem tylko, że to dar nie wiecznie trwały jak te, co odebrali ksiądz i Zawierucha, że kiedyś jej koniec przyjdzie, albo wypadek może mnie pozbawić pamiątki, którą tak wysoko ceniłem.

Nieraz mi przyszło oddalać się z Jass za zleceniami pp. Pułaskich. Wtedy oddawałem Zezulę opiece

Zawieruchy, który w czasie mojej nieobecności pilnował jej jak oka w głowie.

We dwa miesiące jakoś po śmierci starosty wracałem do Jass, po dwutygodniowej niebytności. Było to pierwszych dni maja, czas prześliczny, ja jakiś weselszy, jakby w harmonii z tą odmładzającą się naturą. Zbliżyłem się do monasteru gdzieśmy zawsze kwaterowali, i w bramie ujrzałem Zawieruchę; stał on z założonemi rękoma i patrzył na drogę, jakby mego powrotu wyglądał. Dojechawszy powitałem go, i pytałem zaraz o nowiny.

— Wsio dobre, odrzekł, gościa mamy.

— Kogo? pytałem zsiadając z konia.

— Pokażu go wam, mówił, wziął mego białonogę, za cugle i szedł naprzód, a ja za nim.

Weszliśmy do stajni; w samym jej środku na widoku była klatka szeroka, żerdziami obwiedziona, w niej stała Zezula, która zarżała spostrzegłszy mnie, a obok niej cudnie piękne źrebie wilczate, ogon i grzywa czarna, kula w kulę Zezula, z tą różnicą, że na szyi z lewej strony miało znamię czerwone, wyraźnie dłoń z pięciu palcami, właśnie w miejscu gdzie matkę jej dotknął pod Ulanowem starosta zakrwawioną ręką...

Jakiego uczucia doznałem na ten widok, wypowiedzieć tego panom nie umiem. Uradowany całowałem klacz i jej małe; pieściłem go jak dziecicę, przyzwyczajałem do pójła i obroczku, karmiłem chlebem i cukrem, a ono tak się do mnie przywiązało, że jak piesek biegało w ślad za mną.

Nie długo potem weszliśmy znów zbrojno na Podole i Ukrainę. W przechodzie byłem na parę dni w fu-

torze, darowanym mi przez starostę. Osadziłem w nim krewniaka, z żoną i dziećmi, żeby gospodarował w mojej niebytności, i pożegnawszy obie Zezule, matkę i córkę, ruszyłem w świat. Wiadomo panom że lat prawie pięć trwała konfederacya. Przez cały ten czas byłem nieodstępny pana Franciszka, a po jego zgonie, pana Kazimierza towarzyszem, biłem się w górach sanockich, i przy wzięciu Krakowa i w oblężeniu Częstochowy, aż kiedy wszystkie nadzieje skutecznego oporu znikły i konfederaci weszli do Węgier, wtedy z bolem serca pożegnałem pana Kazimierza i towarzyszy.

Z pomocą przyjaciół domu Pułaskich, otrzymałem przebaczenie od króla, i wróciłem do mojej zagrody. Po tylu latach włóczęgi, po tylu przygodach różnego rodzaju miło było spocząć pod własną strzechą, tem bardziej, że wszystko zastał nietylko zachowane, ale ulepszone: bo kiedy ja biłem się po świecie, poczciwy krewniak pobudował to, czego brakowało, ponasadzał tam, gdzie dawniej goło było: słowem w miejscu opuszczonego niegdyś kawałka ziemi, zastałem porządną szlachetczyznę, inwentarz piękny, pasiekę liczną i stert kilka, a nawet i sepecik spory na przypadek nieurodzaju lub tanizny.

Już było ciemno, kiedym stanął w domu. Po witaniami, uściśnieniach i płaczu kobiet i dzieci, krewniak mój zdawał mi sprawę z ulepszeń jakie porobił. Słuchałem go jednym uchem, i zaraz o Zezule pytałem.

— Zdrowa, zdrowa, mówił uśmiechając się, jutro ją zobaczysz, a ja jakby o kochance myśląc o Zezuli, udałem się do spoczynku.

Jakżem niecierpliwie czekał rana! bo komu się zdarzyło po latach trudów i niebezpieczeństw wrócić do domowej zagrody, ten tylko pojmie, co to za rozkosz te pierwsze chwile spędzone we własnym domku, ta pewność spokojnego, wiejskiego życia, zamiast ciągłej czujności i nocy bezsennych. Bo jeżeli życia pełnego ruchu i przygód żądny umysł młody, gdyby nie z innych powodów, to jako sprzeczne przeciwstawienie, i spokój domowy ma swoje powaby.

Zasnąłem tedy, a umysł nawykły do gwaru wojennego i we śnie przedstawiał mi jakiś napad nocny. Już przednie straże strzelały, już trąby zagrały do koła, potem zdało mi się słyszeć silny głos starosty, który wołał: na koń! Dynowski, na koń!... Wtedy zerwałem się na posłaniu... patrzyłem niespokojny w ciemności, nie mogąc chwilowo zdać sobie sprawy gdzie ja jestem; ale miasto gwaru cisza była w około; tylko od strony sadu przerywał ją wesoły śpiew słowika, co zawodził nad wodą.

— A więc ja nie w obozie, pomyślałem, i to moja chata, dzięki tobie mój panie i dobroczyńco!... niech więc i pierwsze modły moje będą za ciebie!...

I przeżegnawszy się gorąco modliłem się za spokój duszy starosty, a potem swobodniejszy zasnąłem twardo.

Kiedym się zbudził, słońce już było wysoko. Ranniejszy odemnie, wszedł zaraz mój krewniak, wypytał jakem noc przepędził, nakarmił, napoił, a potem wyszliśmy na ganek.

Rozglądałem się do koła, bo dużo rzeczy przybyło: na prawo szpichlerzyk, którego nie znał; na lewo

stajenka z tartego drzewa; stary lamusik miał nowy daszek gontowy; wysoki parkan otarniony, w nim brama pokryta, i studnia nowa i gołębnik malowany. Wszystko to było schludne, starannie postawione. Nie ukrywałem też podziwu mego, i serdecznie uściskałem poczciwego krewniaka; a on chcąc od razu pokazać wszystko co przysporzył, kazał wypędzić inwentarz. I szło porykujące siwe bydelko, potem kudłate owieczki przeciągłem beczeniem zwoływały jagnięta swoje, mnóstwo wszelkiego rodzaju drobiu różnemi głosami radowało się i biegło do wody. Przypatrywałem się temu, i znowu dziękowałem serdecznie poczciwej gosposi.

— Ależ Zezula! Zezula! zawołałem, odwracając się do jej męża.

— To już na waletę, odrzekł, służę ci.

I furtką prowadził mnie przez ogród, gdzie młode szczepy zastąpiły spruchniałe stare grusze i jabłonie; za ogrodem była łączka, żerdzianym płotem obrzucona, środkiem jej płynęła woda, po bokach zaś gęste krzaki. Kiedyśmy na niej stanęli, ktoś palnął z bata, w krzakach rozległ się tentent i wysunęła z zarośli najprzód Zezula, mężniejsza, poważniejsza, jakem ją odjechał; za nią czteroletnia jej córka, wysmukła, wesola, w kilku skokach wyprzedziła matkę, potem źrebiec dwulatek, niesformowany, niezgrabny jeszcze, ale bundiuczny z wyniosłą szyjką i z łebkiem do góry, nareszcie młode źrebie, z ogonkiem jak kitka kłósowało krocząc z góry, i podrzucając to przodem to zadem; a wszystko wilczate jak Zezula, z czarnemi pręgami jak ona, a z krwawą dłonią jak najstarsza siostra.

Nie posiadałem się z radości na ten widok i pomyślałem zaraz, że dar starosty nie zaginie jak nie giną rodziny, co się odradzają w dzieciach.

— Cóż jeszcze dodam, mówił po przestanku pan Dynowski, oto, że po Zezuli dochowałem się całego stada: klaczki zostawiam dla siebie, a źrebce, z małym wyjątkiem, sprzedaję suto, i nie jedno dziś wielkie stado jak Sławuckie, Proskurów i Kurdywanowskich pomieściło się ze krwią Zezuli. Nie jeden syn jej uganiał za nieprzyjacielem, bo miał odemnie konia i Madaliński i ksiązę Józef i Włodzimierz Potocki...

Tak tedy dar starosty przechował się do dziś dnia i jeszcze kiedyś za trumną moją pójdzie Zezula i od prowadzi mnie na wieczny spoczynek.

Zamyślił się stary konfederat, a my chcąc przerwać dumanie jego, wnosiliśmy zdrowia różne. W końcu pytałem go, czybym i ja nie mógł dostać jednego potomka Zezuli?

— Jak wrócę do domu, doniosę panu o tem, odrzekł z uśmiechem, a potem spojrzął w okno.

— Już dnieje, mówił, panom trzeba wypocząć, a mnie w drogę. I kazał przyprowadzić konie.

Słońce właśnie wchodziło, kiedy już Zezula stała przed gankiem. Oba z panem Jakóbbem przypatrywaliśmy się jej dziwnej odmianie na szyi; potem dużym kielichem piliśmy wszyscy strzemienne, nie wyłączając kozaka, i żegnaliśmy pana Dynowskiego z prawdziwym żalem. A on siedząc już na koniu, popatrzył na mnie z rozrzewnieniem:

— Niech was Bóg strzeże i błogosławi! zawołał żegnając mnie, bo wy krew konfederatów, i ruszył w całym pędzie konia.

Po odjeździe jego częstośmy z panem Jakóbem rozmawiali o nim. Zrobił on śliczny obrazek, gdzie przedstawiony był Dynowski, jak po powrocie z wojny ogląda Zezulę i jej potomstwo, a pracę tę przeznaczał pan Jakób dla starego konfederata.

Wkrótce zdarzyła mi się sposobność, przesłać mu go, bo w rok jakoś, wróciwszy do domu po długiej niebytności, dowiedziałem się, że pan Dynowski przechodząc znowu ze swoim taborem, wstępował do mnie. Zostawił on żrebca wilczatego, nacechowanego jak cały ród ten, przy liście, w którym prosił mnie, żebym wnuka Zezuli przyjął od niego w darze i żeby mi służył jak niegdyś Zezula staroście Wareckiemu, i przypomniał przytem obietnicę: że kiedyś opowiadania jego świata będą znane.

Niedługo potem zadość się stało pierwszemu życzeniu starego konfederata: bo niespełna w półtora roku prawnuk Zezuli, jak jego przodkowie, był na polu bitwy, tylko że nie nosił sławnego wojaka, jakim był starosta Warecki, a dużo później wprowadzie bo dopiero we dwadzieścia i kilka lat dopełniam drugiego życzenia, spisując opowiadanie jego.

---

Takimi to powieściami przeszłości karmiła się młodość moja: nie dziw więc, że w dojrzałym wieku, jej tylko pióro moje poświęcam.

---



13160/1